Rok IV. Nr 1.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO à PAULO.

Styczeń.

KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład XX. Misyonarzy
1898.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata roczna wynosi z przesyłką 2 fl. (4 mrk.).

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO à PAULO.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO à PAULO.



Rok IV.



KRAKÓW.

Wydawnictwo i nakład XX. Misyonarzy.

1898.



KRAKÓW. — DRUKIEM W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.



Sprawa beatyfikacyi i kanonizacyi Wielebnej Służebnicy Bożej Ludwiki de Marillac,

wdowy Le Gras, współzałożycielki Sióstr Miłosierdzia.

Opatrzność sprawiła Siostrom w Paryżu tę pociechę, że listy *remissoriales* wysłane z Rzymu do kardynała Richard a zawierające polecenie, aby kardynał zajął się dalej procesem w sprawie beatyfikacyi Śwtbl. Ludwiki de Marillac, nadeszły do domu macierzyńskiego Sióstr Miłosierdzia w sam dzień koronacyi Najśw. Maryi P. od Cudownego Medalika t. j. 26 lipca t. r.

Podajemy tu wiadomość o tem co w tej sprawie już zrobiono, i co jeszcze zrobić trzeba, aby czytelnicy Roczników mieli wyobrażenie o stanie tej sprawy.

1. Co już zrobiono.

1. Proces informacyjny ze strony Ordynariatu. Rozpoczął się 2 kwietnia 1886 r. zajął 109 posiedzeń komisyi i skończył się 18 grudnia 1890.

2. Zbadanie pism Śwtbl. Ludwiki. Dekret pomyślny, a mianowicie stwierdzający, że nie zawierają te pisma nic takiego, coby nie dopuszczało zajęcia się sprawą beatyfikacyi, został podpisany przez Ojca św. 23 lipca 1894. (Patrz „Roczniki“ Rok II, str. 15).

3. Urzędowe wprowadzenie sprawy w Rzymie. O tem zadecydował dekret z 10 czerwca 1895 przyznający Ludwice tytuł Świątobliwej.

Gdy ważny ten dekret został wydany, obchodzono z okazałością w domach obydwóch Zgromadzeń uroczystości dziękczynne.

4. Orzeczenie, że nie oddawano otąd Świtbl. Ludwice czci takiej, jaką się oddaje błogosławionym lub świętym. Dekret z 11 stycznia 1897 (patrz Roczniki III. 119).

II. Co jest do zrobienia.

Święta Kongregacya obrzędów rozstrzygać będzie na swych posiedzeniach cnoty, cuda i pytanie, czy ma być beatyfikacya ogłoszona. Przed tem jednak w Paryżu muszą się odbyć dwa procesa apostolskie t. j. w imieniu Papieża. W pierwszym z nich, który nie trwa długo, musi komisya zbadać zeznania sądowe kilku świadków, że Świtbl. Ludwika jest w opinii świętości i cudów. Drugi, który potrwa daleko dłużej, ma dostarczyć dowodów sądowych, że służebnica Boża wykonywała wszystkie cnoty w stopniu heroicznym i że za pośrednictwem jej działy się cuda.

Listy *remissoriales*, o których wspomnieliśmy na początku, polecają Kardynałowi paryskiemu zająć się pierwszym procesem. Dobry wynik tego procesu jest niewątpliwy. Zapewniają go świetne zeznania otrzymane od świadków a będące przedmiotem tego procesu. Proces ten rozpocznie się możliwie jak najprędzej. Nie trzeba jednak zapominać, że Kardynał Richard prowadzi w tym czasie kilka spraw beatyfikacyi a zwłaszcza sprawę siostry Katarzyny Labouré.

Cuda i łaski

zdziałane za przyczyną Najśw. Maryi P. od Cud. Med., św. Wincentego i bł. Jana Gabryela.

List siostry Gurowicz do Imć. Ks. Wizytatora Soubieille.

Kołomyja d. 13 listopada 1897.

Najczcigodniejszy Ojcze!

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa niech zawsze będzie z nami!

Przejęta najżywszą wdzięcznością dla N. M. Panny, która jest najpewniejszą ucieczką naszą, postanowiłam opisać tu zdarzenie, które miało miejsce w ubiegłym miesiącu w naszym szpitalu, a które tylko przyczynie Najświętszej Panny przez Jej Cudowny medalik przypisuję.

Leżał w naszym szpitalu kapitan wojskowy spensyonowany Karol R., podał się jako katolik 37 lat wieku, chory na suchoty. Żądał od lekarza ulgi, ale on mu powiedział, że dni jego są policzone. My widząc, że już nie długo żyć będzie, zachęcałyśmy go do spowiedzi, ale on z oburzeniem odpowiedział, że nigdy w życiu nie praktykował rzeczy religijnych.

Ksiądz będąc u innego chorego, zapytał i jego także, czy niechciałby się wyspowiadać — ale tenże odpowiedział, że nie ma z czego; przyczem powtarzał tak nam, jak i Księdzu, ja tu przyszedł szukać spokoju a wy mi go nie dajecie.

Kiedyśmy widziały, że wszystkie usiłowania nasze, ażeby go do spowiedzi namówić są nadaremne, Siostra poprawiając mu łóżko, wszyła w poduszkę medalik N. Panny, nie poprzestając go razem z chorymi, polecać Jej miłosierdziu. Medaliczek ten maleńki,

o którym on nawet wcale nie wiedział, zaczął go mocno niepokoić; zawołał pisarza i wyznał przed nim, że jest żydem, mówiąc; „Jestem rodem żyd, przeszedłem na wiarę katolicką 2 lata temu, ale nie miałem w użyciu żadnych praktyk religijnych. Dobrze mi z tem było przy wojsku, bo zaraz człowiek jest lepiej uważany. Teraz dwa tygodnie, jak byłem u rabina w Kołomyi oświadczyć, że wracam napowrót do żydów i na piśmie podałem to do Starostwa. Niech mi zakonnica da spokój, bo aż mię dreszcz bierze, jak przechodzi koło mego łóżka“. Siostra zatem, by nie drażnić już więcej chorego, przestala mu o tem mówić, lecz za to podwoiła gorące modły do N. Panny, by Ona przemówiła sama do duszy tego nieszczęśliwego. I oto tejże nocy śni mu się, że go szatani do piekła wrzucają; zaczął więc przeraźliwie przez sen krzyczeć, wołając: „Panie ratuj mnie! Jezus, Marya, Józefie św. ratujcie“! aż się chorzy powystraszali. Skoro się przebudził, pytał się, gdzie go z łóżkiem wyrzucili i czy on spał, czy nie, bo niewie nic, co się z nim działo. Wyglądał bardzo wystraszony tem snem i cały spocony. Rano zażądał Księdza, tylko jakiego już starszego wiekiem. Przybył zatem nasz Przewiel. Ks. Kanonik, przed którym przy świadkach uczynił wyznanie wiary, wyspowiadał się, przyjął Komunię św. i Sakrament ostatniego namaszczenia, a do Starostwa posłał, że chce umrzeć w wierze katolickiej. Po przyjęciu Św. Sakramentów uspokoił się zupełnie, a potem przywoławszy Siostrę do siebie, opowiedział jej cały swój sen.

Żył potem jeszcze tylko dwa dni i umarł dnia 30 października 1897.

Skreśliwszy jak mogłam najdokładniej cały ten

cudowny wypadek — zostaję z najgłębszem uszanowaniem w miłości Najśw. Serc Jezusa i Niep. Maryi

Najczcigodniejszego Ojca
posłuszną córką. S. Gurowicz.

W Annales Nr. 4 czytamy co następuje.

Pewien kapłan z Paryża, w liście o pożarze Bazaru, pisanym do redaktora pisemka *Semaine religieuse* w Luçon, — który nam podał nazwisko tego kapłana — donosi, co następuje:

„Dowiedziałem się od pewnego czcigodnego proboszcza z Paryża, znającego rodzinę z której matka i córka popaliły się w pożarze bardzo, choć nie grozi to śmiercią o następującem cudownem zdarzeniu. Osoby te udały się około trzeciej godziny do Bazaru, wraz z bratem, który niestety jak wielu innych, zaniedbał wszelkich praktyk religijnych. O godzinie czwartej wszczął się pożar. Młodzieniec bierze matkę na swoje ręce i dosyć szczęśliwie wyrzuca ją na zewnątrz; popaliła się tylko nieco. Spieszy się potem aby wydostać i uratować siostrę, prawdziwego anioła pobożności. Wśród tego ogień otacza go całego, belka płonąca spada mu na kapelusz, i nie rani go ani też go nie poparzyła. Biedna jego siostra ocalała, jest poparzona ciężko lecz nie niebezpiecznie.

Nazajutrz rozmawiając z drogiemi swemi choremi, rzekł młodzieniec do siostry: „To jest prawdziwie dziwne, że ta płonąca belka, spadłszy na mnie nie popaliła mnie; gdybym był pobożnym, powiedziałbym nawet, że to cud". — „I dla czegóżbyś nie miał teraz powiedzieć"! odparła siostra.

„Mój kochany, przynieś swój kapelusz“. Zdziwiony młodzieniec przynosi go. „Spojrzyj na dno i zobacz co ci tam włożyłam, nim udaliśmy się do Bazaru“. Jeszcze bardziej zdziwiony młodzieniec szuka i znajduje ze zdumieniem na dnie swojego kapelusza, medalik cudowny.

„Bogu chwała! zawołał wzruszony, poznaję cud, jutro rano się wyspowiadam i przyjmę komunią świętą na podziękowanie P. Bogu“.

Ks. Heudre, superior domu w Salonice, pisał w liście 20 lipca 1897:

„Pewna niewiasta, Włoszka, która się miała poddać ciężkiej operacyi, przepędziła całą noc 19 lipca u stóp figury św. Wincentego w szpitalu włoskim. Nazajutrz, w pół godziny przed nadejściem lekarzy, którzy mieli wykonać operacyą, niebezpieczeństwo ustępuje zupełnie ku wielkiemu zdziwieniu lekarzy, którzy tego nie mogli zrozumieć i musieli przyznać, że św. Wincenty szybciej i lepiej leczy od nich“.

Oto zeznanie jednego z lekarzy:

„Franciszka Menga, licząca 49 lat, miała wielkiego polipa z szerokiem rozgałęzieniem. Wskutek ciągłych krwotoków, stała się bardzo anemiczną; przybyła tu do szpitala 13 lipca, aby się poddać operacyi.

„Operacya miała się odbyć 19 lipca o godzinie 11 rano. Lecz ku wielkiemu zdumieniu lekarzy, o w pół do jedenastej, odpada narośl sama; krwotoki ustały. Pani Menga opuściła szpital 22 lipca, zupełnie zdrowa“.

Salonika, szpital włoski, 28 lipca 1897.

Lekarz Dr. N.

Yao-kia-tchoang (Chiny). Miejscowość tę niepokoiły niezgody i kłótnie; spokój nastał wskutek wezwania Błogosławionego Jana Gabryela. Grudzień 1896.

N.... Francya. „Posyłam 100 franków na dzieło błogosławionego Gabryela Perboyre. Obiecałem tę sumę, jeśli mi się pomyślnie uda egzamin dojrzałości. Zostałem wysłuchany“. 14 sierpnia 1897.

List do Ks. Angeli:

„Wielebny Księże! Aby spełnić obowiązek wdzięczności względem Jana Gabryela odważam się do Ciebie pisać. Wielka jest już ilość kandydatów do egzaminu dojrzałości i bakkalaureatu, którzy zawdzięczają Jego opiece pomyślny skutek. Pozwól mi, abym Ci mógł opowiedzieć dwa wypadki ku czci Błogosławionego.

„W pewnej szkole we Francyi środkowej uczniowie retoryki odprawiają nowennę do błogosławionego Jana Gabryela Perboyre'a od pięciu już lat, kiedy się przybliża egzamin lipcowy. Biust męczennika zawierający jego relikwie, stoi na małym postumencie, i w modlitwach przed, wśród i na końcu lekcyi dodaje się wezwanie: „Błogosławiony Gabryelu Perboyre, módl się za nami“.

„Otóż trzy lata temu podczas nowenny rozdawał profesor przedmioty do zadań na egzamin. Miał dwa do wyboru. Niewiedząc zaś sam dlaczego, decyduje się na drugi przedmiot: „List księcia Condéusza etc.“ i podyktował uczniom swoim dosyć obszerny zarys do zadania. Otóż w tym samym tygodniu na egzaminie otrzymali uczniowie jako zadanie ten list księcia Condé.

„W roku następnym opieka Błogosławionego była daleko cudowniejszą jeszcze. Codziennie w czasie nowenny tensam profesor podawał w tłómaczeniu uczniom list Cycerona do Pompejusza. Wyjął go ze zbioru listów najważniejszych wielkiego tego mowcy. Zbiór ten dopiero co był wydany — i zdaje się, że po raz pierwszy miał go w rękach. Było to w poniedziałek; we środę tłómaczenie w klasie przerobiono, a w piątek tego samego tygodnia dano do tłómaczenia ten list na egzaminie". 11 sierpnia 1897.

Siostry Miłosierdzia w Madagaskarze.

W marcu 1897 przybyły szczęśliwie Siostry Miłosierdzia do Madagaskaru. Jest to urzeczywistnienie zamiaru, który istniał od dawna. Zdaje się, że dobrze będzie przypomnieć tu jak św. Wincenty i Św. bł. Ludwika Marillac przewidzieli, że w przyszłości siostry Miłosierdzia dostaną się na tę wielką wyspę afrykańską.

„Imię wasze, powiedział razu pewnego św. Wincenty (Konferencye do Siostr Miłosierdzia) jest niemal wszędzie znane, nawet na Madagaskarze, gdzie was chcą mieć; a nasi księża, co tam są, piszą, że jest rzeczą bardzo pożądaną, abyście tam miały dom i pomagały do zbawienia dusz ubogich murzynów".

Życzenia, o których wspomina św. Wincenty, wyrażali misyonarze z Madagaskaru zwłaszcza ks. Bourdaise.

Kilka lat później, jeden z pierwszych misyonarzy, którzy tam życie swoje złożyli w ofierze, ks Étienne pisał, że zbudował kościół daleko obszerniejszy jak jego poprzednicy, aby można przyjmować

licznych neofitów; zbudował również dużą chałupę dla nauczania w niej katechizmu a drugą dla pielęgnowania chorych mówiąc: „Będziemy opiekowali się tym szpitalem, dopóki nie przyjdą Siostry Miłosierdzia, a potem oddamy go w ich opiekę. Ileż to dobrego mogłyby zdziałać Siostry dla chorych, których od czasu naszego przyjazdu jest bardzo dużo, chociaż umarło już więcej niż pięciu! Siostry nasze uczyłyby również nasze murzynki, które codziennie przychodzą do tych dwóch niewiast przybyłych z nami z Francyi, aby się uczyć od nich zasad wiary świętej i sposobu, w jaki można żyć po chrześciańsku; pomoc ich przynosi nam dużo ulgi". (List z 15 stycznia 1664).

Święty Wincenty nie tylko że powiedział, iż w przyszłości Siostry tam będą, ale nawet zachęcał je do tej pracy apostolskiej. W jednej ze swych konferencyi, w której im mówił o regułach ich Instytu, gdzie znajdujemy tak wzruszające rozmowy pomiędzy ojcem i jego córkami, powiedział im (29 września 1655):

„Słyszałyście słowa Reguły, moje siostry, że możecie być wysyłane lub odwoływane, kiedy się to uzna za słuszne. Macie więc być w tem usposobieniu, żeby iść wszędzie, albowiem na wielu miejscach chcą was mieć.

„Księża nasi proszą, żebyśmy was im posłali dla wspierania ich w zbawianiu dusz. Ks. Mounier i ks. Bourdaise mówią, że uważają to za skuteczny środek, aby nawrócić mieszkańców tej wyspy, mówią, że możnaby stworzyć szpital dla chorych, i katechumenat dla nauczania i przyzwyczajania do życia chrześciańskiego. Również proszą o jedno z dzieci znalezionych, aby ono mogło drugie pouczać: bądźcie więc

gotowe na to, wyspa ta jest oddalona o 4500 mil a podróż trwa 6 miesięcy.

„Mówię wam to, moje siostry, aby wam pokazać Boskie względem was zamiary. Bądźcie więc gotowemi, drogie moje córki, oddajcie się św. woli Pana Naszego, aby iść dokądkolwiek Mu się spodoba. Czyż macie zatem postanowienie, żeby pójść wszędzie bez żadnego wyjątku? — Tak, mój Ojcze, odpowiedziały siostry. Lecz czyż wszystkie? Jesteście więc w tem usposobieniu? Jeżeli tak, powiedźcie mi". A wszystkie siostry powstawszy odpowiedziały: „Tak, mój Ojcze".

Te prożby pełne nadziei nie mogły się wówczas ziścić. Tymczasem misyonarze korzystali z gorliwości i poświęcenia tych dwóch pobożnych i gorliwych niewiast, które, jak właśnie słyszeliśmy, przybyły z Francyi, aby się oddać ewangelizacyi Madagaskaru pod kierunkiem Misyonarzy. Ci zaś czekając na przybycie sióstr, o które prosili, zaczęli nawet sami na tej wyspie przygotowywać niektóre osoby na siostry Miłosierdzia. Oni pierwsi założyli podwaliny pod seminaryum internum misyonarzy w Madagaskarze, i oni także dali suknię sióstr Miłosierdzia jednej gorliwej chrześciance. Była to wdowa, o której jest wzmianka w ostatnim liście misyonarzy z Madagaskaru do ks. Alméras, w chwili kiedy koloniści francuscy zatem i misyonarze musieli opuścić tę wyspę na pewien czas (1671).

„Proszę nam donieść, pisze ks. Roguet, co zrobić z tą niewiastą, której ks. Manié (misyonarz który umarł na Madagaskarze) dał suknię sióstr Miłosierdzia w razie, gdyby nas odwołano do Francyi. Opiekowała się dotąd seminaryum niewiast i dziewcząt; pragnie teraz powrócić do Francyi".

Siostra Józefa, (takie było imię zakonne panny de La Ferrière), wsiadła następnego roku także na okręt *la Dunquerquoise*, który miał odwieść kolonistów do ojczyzny.

Tożsamo pragnienie co święty Wincenty, miała Swtbl. Matka Ludwika de Marillac: „Ach! błogosławiona podróż! zawołała dnia jednego“.

I pytała śmiejąc się siostrę Henrykę, czy jej ona nie odstraszy.

Nie odstraszyła w każdym razie siostry Haran, która była potem trzecią z rzędu Przełożoną Sióstr Miłosierdzia. W tym samym czasie, kiedy była zajęta zbieraniem zwłok rozbitków okrętu w Nantes, z którego cudem ocalało trzech misyonarzy, co wyruszali na Madagaskar, pisała do św. Wincentego, że czuje gorącą chęć do służenia Bogu z nimi na tej ziemi opuszczonej. Św. Wincenty odpowiedział jej wtedy tymi słowy łagodnymi i pełnymi ducha Bożego. (14 marca 1657):

„Moja Siostro! Otrzymałem list, jakiś do mnie napisała, i czytałem go z wielką pociechą, dowiadując się, że wszystko idzie dobrze, zaco dziękuję Bogu a zwłaszcza że pragniesz służyć Bogu na Madagaskarze. Niewiem, czy się to spełni, lecz wiem dobrze że gorliwość ta jest Bogu bardzo miłą, i że lepiej zrobisz, jeśli się zgodzisz z wolą Jego, czy Ci każe iść, czy zostać, i jeśli robić będziesz to, co On każe, chcesz bowiem czynić to, co Bóg chce i nic mimo Jego woli nie czynić. Woli Jego często Ciebie i Twoje siostry polecam, ażebyście były Mu uległemi zawsze i wszędzie, jako córki, które wybrał sobie Pan Nasz i do Swej służby powołał“.

Nie sama Siostra Haran, do której jest list powyższy, ofiarowała się na to. Panna Le Gras nie

wahała się powiedzieć: „Większa część naszych siόstr pragnie się udać na Madagaskar“. (List do św. Wincentego, styczeń 1658).

A święty Wincenty spoglądając w przyszłość, powiedział w swojej gorliwości apostolskiej: „Przyjdzie dzień, córki moje, w którym Bóg pośle was do Afryki i do Indyi“. (Konfer. do Siόstr Miłosierdzia). Siostry Miłosierdzia są obecnie w Azyi i Ameryce. W Afryce są już oddawna w Algierze; są w Tunisie; były i jak się spodziewamy znowu będą w Abisynii. Wreszcie wyjechały na Madagaskar (1897).

Oto imiona tych, które się tam udały:

Siostra Champay, siostra Vollaro, siostra Gautron, siostra Martin.

Przepowiednie i życzenia św. Wincentego i Świtbl. Ludwiki Marillac już się spełniły.

Audyencya

Ks. Bpa Lesné del. ap. u Szacha perskiego.

(Z listu Ks. Bpa Lesné do Ks. Milon sekretarza gen.).

Teheran 15 lipca 1897.

Przybyłem do Teheranu w celu złożenia wizyty szachowi. Po przyjeździe tu dotąd 2 b. m. złożyłem wizytę hr. d'Arlot, ambasadorowi francuskiemu i prosiłem go, aby mi wyjednał audencyę u szacha, mówiąc, że mam mu do oddania list od Ojca Św. Aby zaś posłuchanie to przyspieszyć, prosiłem o wstawiennictwo pana doktora Tholozan, lekarza francuskiego, wielce cenionego przez szacha perskiego. W trzy dni potem, doniósł mi ambasador, że będę miał posłu-

chanie nazajutrz, to jest w czwartek 8 lipca, o 10 godzinie rano.

Szach przebywał w jednym ze swoich letnich pałaców, i tam też postanowił mnie przyjąć. Udałem się więc tam dotąd o godzinie oznaczonej w towarzystwie posła francuskiago, tłómacza p. Retel i naszego współbrata ks. Dillange. Szach przyjął nas w ogrodzie, z wielką okazałością i z ceremoniami, w takich razach przepisanymi.

Posłuchanie trwało mniej więcej kwadrans. Szach był nadzwyczaj grzeczny, a bardzo schlebiał mu list od Ojca św., który mu oddałem. Oddając mu go dodałem, że podarunek Ojca św. wręczy mu osobny poseł. To mu również nadzwyczaj pochlebiło. Pytał się o zdrowie Ojca św. a dowiedziawszy się ode mnie, że mimo podeszłego wieku cieszy się Jego Świątobliwość zdrowiem doskonałem, rzekł mi: „Zapewnij Ojca św., że zawsze chętnego doznają przyjęcia i dobrego obejścia katolicy w królestwie mojem“.

Korzystając zaś z tego, że zaczął się pytać o stan naszej misyi i katolików, poleciłem jego łaskawości pewną gminę chrześcijańską niesłusznie skrzywdzoną. Obiecał wydać rozkaz, aby obchodzono się sprawiedliwie z tą gminą. Ustąpiliśmy potem z tymi samymi ceremoniami, jakie były na początku.

W dniu następnym dowiedziałem się od jednej osoby z otoczenia Szacha, że był nadzwyczaj ucieszonym z tej wizyty. Oby to nam tylko ułatwiło spełnienie obowiązków naszego stanu.

Szach zrobił na mnie wrażenie człowieka pragnącego być dla każdego ze swych podwładnych sprawiedliwym. Wygląda tak, jakby się ustawicznie obawiał i ciągle coś cierpiał. Rzeczywiście mówią, że

od czasu tragicznego zgonu ojca, obawia się, aby go nie zamordowali.

Misya moja zatem spełniona. Spodziewam się, że po załatwieniu niektórych interesów, dostanę się znowu do naszej misyi w Ourmiah. Misya ta ponosi wiele strat wskutek niespodziewanego przybycia popów ruskich.

Nawrócenia na katolicyzm są coraz to rzadsze. Wszyscy chrześcijanie spodziewając się wszystkiego od Rosyi, garną się całymi masami do popów, a ci obiecują im stałą opiekę i rychłe wyzwolenie. Miejmy nadzieję, że Bóg z tego wszystkiego wyprowadzi swą większą chwałę.

Fr. Lesné,
Zgr. M., delegat apostolski.

Sprawozdanie

o misyach odprawionych w r. 1897 przez XX. Misyonarzy z Kleparza.

List X. JS. do JMC. X. Piotra Soubieille Wizytatora Prowincyi Krakowskiej.

Czcigodny X. Wizytatorze!

Łaska P. N. J. Chr. n. b. z. n. z.!

Już rok dobiega, jak złożyłem na ręce Czcigodnego Księdza Wizytatora ostatnie sprawozdanie z naszych prac misyjnych w ubiegłym roku podjętych; o tegorocznych zaś pracach dotąd relacyi przedłożyć nie mogłem znowu z tej przyczyny, że *inter arma silent musae* — prawie ustawicznie bawiło się po za domem, misye się garnęły jedna po drugiej — w takim ruchliwym czasie trudno było i za pióro chwycić,

Ta jedna przyczyna niech spóźnienie moje obecne wytłumaczy.

Obecny rok 1897 był znowu dla nas czasem żniwa może nie tyle obfitego w zbawienne plony jak raczej licznego co do prac, do których wezwani i użyci byliśmy. Ale trudno: taki to los wszyscy misyonarze przechodzili i przechodzą. Sam Zbawiciel, Ten Najświętszy i pierwszy Misyonarz raz miał około siebie nieprzeliczone rzesze, które za nim kilka mil biegły, kiedy indziej znowu maleńką garstkę uczniów, a czasem jedną tylko duszę przy nim widzimy; a jednak i dla nich misye odprawiał. Samarytance przy studni długie kazanie mówi, z Nikodemom w nocy rozmawia. Zacheusza w domu odwiedza, Mateusza na mycie nawraca. Wszystko to niby na pozór misye nie udałe, a jednak jakież błogie skutki z tych sporadycznych nawróceń później się okazały. Mateusz nawrócony na kraniec świata Ewangelię roznosi, Zacheusz po wszystkie wieki za szczere swoje nawrócenie wychwalany, Nikodem cały Sanhedryn w kłopot wprawia i zaczynają myśleć poważnie o Zbawicielu, z którego sobie drwili; Samarytanka opowiadaniami swemi całe miasto i okolicę nawraca. Nam też biednym sługom swoim dał przestrogę Zbawiciel, że *nie może być sługa nad Pana, ani uczeń uad Mistrza swojego.* Nie zawsze się możemy cieszyć na misyach wspaniałem audytoryum, tysiącami nawróceń, sercami ciepłemi, które ochotnie słowo Boże przyjmą i plony stokrotne wydadzą: owszem nieraz P. Bóg tę zewnętrzną okazałość misyom naszym odejmie, napotka się serca i parafie obojętne, zaślepione i zarosłe cierniskiem materyalizmu, albo twarde jak granit, że się na nich Słowo Boże od razu nie przyjmie; ale trudno i takich dusz Dobroć Boża nie chce pominąć —

i wśród takich parafii trzeba misye odprawiać. Przykra to trochę, wśród takich niespodzianek praca; ale i na nie trzeba być siewcy bożemu przygotowanym.

Te luźne i pobieżne myśli wsunęły mi się pod pióro, kiedy mam podać przebieg mysyi naszych w obecnym roku odbytych. Po ludzku i po naszemu rzecz biorąc, nie wszystko i nie wszędzie odbyło się w tym roku wspaniale i gwarno; ale może inaczej zapatruje się na to P. Bóg, aniżeli nam się zdawało; może Dobroć Jego sprawi, że te skromne prac naszych wyniki staną się rozsadnikami innych i licznych nawróceń, którycheśmy na razie nie widzieli.

I) Pięć misyj w dyecezyi krakowskiej.

Począwszy od dwóch lat, jak szczęśliwie objął rządy krakowskiej dyecezyi Najprz. JO. Książę-Biskup Puzyna i praca misyjna trwa tu ustawicznie. Coraz to nowe partye misyonarzy werbuje nasz Arcypasterz i do winnicy swojej wysyła. Z pięciu misyj jakieśmy dali tego roku na wiosnę jedna tylko odbyła się z prywatnej inicyatywy proboszcza, inne cztery z ramienia Księcia-Biskupa. Dotąd już 7 dekanatów, między którymi olbrzymi dekanat żywiecki, obrobione zostało przez misye. Gdy tak na prowincyi dekanat po dekanacie się uprząta, trzeba było pomyśleć i o Krakowie samym, któremu może więcej misyi potrzeba, aniżeli wioskom i parafiom okolicznym. Kraków wsławiony tylu śś. pamiątkami, tylu Kościołami, że prawie jeden do drugiego przytyka, stąd wysławiany jako Rzym polski przez wielu pisarzy, niestety, dziś coraz więcej ślady starodawnej wiary i pobożności, staropolskiego przywiązania do Kościoła i duchowieństwa, traci; dawnemi tradycyami

się cieszy, na laurach świątobliwych przodków spoczywa, obchodami narodowemi, a czasem i religijnemi lubi się bawić. Ludzi prawdziwie pobożnych chyba tylko wyjątki — i tych coraz mniej, swywola, gwałcenie praw Bożych i kościelnych zwykłe większych miast przywary to jak wezbrana rzeka rozlewają sią na wszystkie strony i coraz więcej pochłaniają ofiar. Nadszedł szał socyalizmu i to do reszty zawróciło w głowach. Nie tak dawno temu jeszcze można było widzieć majstrów katolickich jak się po Kościołach modlili i czeladź wiernie posyłali na nabożeństwa; dziś w niedzielę sklepy i piwiarnie i gospody i szynki pootwierane, przy warsztatach roboty odchodzą choćby ukradkiem, kościoły coraz więcej pustkami świecą, za to parki i kaźmierskie zaułki zawsze mają frekwencye jak na odpuście. Prawdziwie *Hannibal ante portas!* trzeba było dawno zawołać i do pracy obronnej się zabrać. Ale tak jakoś schodziło. Kto się chciał optymizmem cieszyć, powtarzał sobie: Ej! nie tak źle u nas, jak zastraszają! Inni sobie mówili: Któż potrafi tej ogólnej powodzi złego się sprzeciwić? Na co się to przyda? — starodawnych, tradycyonalnych obchodów się trzymajmy — to się najdalej zajdzie!...

P. Bóg w miłosierdziu swojem Nieskończony inaczej zrządził. Nie było co dłużej czekać: żeby i tę maleńką garstkę serc poczciwych, jaką się jeszcze może Kraków poszczycić, w dobrem utwierdzić i zbłąkanych do upamiętania przywieść i resztę zepsutych, jak Niniwici (a może i więcej) przerazić, upomnieć i nawrócić, zarządzone zostały w Krakowie misye. Świątobliwi i przezacni OO. Redemptoryści z wielkiem powodzeniem pracowali naprzód w Kościele Bożego Ciała na Kaźmierzu, później w Krakowie

w Kościele Najśw. Panny Maryi. OO. Jezuici odbyli dwie misye, t. j. na Zwierzyńcu i na Piasku. Nam zaś wypadło pracować w naszej parafii t. j. w kolegiacie ś. *Floryana na Kleparzu*.

W niedzielę I Postu dnia 7 marca wyszliśmy z celek naszych, by w parafii, gdzieśmy się prawie wszyscy wychowali, przepowiadanie ewangieliczne rozpocząć. W Kościele zastajemy może z 50 ludzi. Nabożeństwo wstępne rozpoczął szeroko w świecie literackim znany nasz Proboszcz Ks. Dr. i kanonik Krukowski zaintonowawszy hymn do Ducha ś. *Veni Creator*. Tymczasem ludzi trochę więcej naszło. Po ukończeniu śpiewu przemówił poważnym głosem X. kanonik zaznaczając w tej przemowie swojej, że wielkie dzieło otwiera: misyę u ś. Floryana, jakiej już 30 lat nie było w tutejszej parafii. Zaczyna się najwcześniej, a trwać będzie ze wszystkich krakowskich najdłużej, bo aż 16 dni; i dodał, że się spodziewa, że przy pomocy Bożej, o którąśmy co dopiero prosili, a pracy misyonarzy „zacnych, poczciwych sąsiadów naszych" dzieło to wielkie uda się, a on kiedyś następcy swojemu, zostawi parafię piękną, odrodzoną. Na to odpowiedzieliśmy w sercach: „Amen!" — co się wykłada na polskie: „Daj Boże!" Oby tylko z tej całej sprawy i „wielkiego dzieła" nie zrobił się na końcu *ridiculus mus!* Jakoś na wielki zapał i zainteresowanie się misyą tu się nie zanosiło. Misya rozpoczęła się zwykłym trybem rozłożona była na 4 stany: trwała więc od 7 do 13 marca. Mieszkaliśmy i stołowali się u siebie, to można było powoli grzebać, a nie było się ciężarem proboszczowi. W misyi tak długo trwającej i tak jak tu rozłożonej, przytem w Krakowie, gdzie spowiedników obfitość wielka, mogło wziąć udział co najmniej kilkadziesiąt tysięcy wiernych. Niestety te-

gośmy nie widzieli. Znając dobrze ociężałość Kleparzan spodziewaliśmy się, że gotowi zawieść; dla tego uwiadomiło się Ślązaków o czasie misyi, żeby oni skorzystali, jeżeli miejscowi nie zechcą. Tu się ogłaszało kilkakrotnie z ambon, karty były porozlepiane za wczasu, co jedną deszcz zniszczył, lub socyaliści zerwali, to się inną wywieszało; nasz senior X. Kamiński postarał się o kolorowe modne karteczki do spowiedzi — i to nie wiele pomogło. W czasie całej tej misyi i po niej do dziś dnia podobniśmy byli do onego gospodarza ewangelicznego, który wspaniałą ucztę wyprawił, przygotowania pyszne porobił, skoro przyszło do stołu zasiąść, nie było komu *bo zaproszeni przyjść nie chcieli.* Uzbierało się: kobiet razem ze Ślązaczkami 700, dziewcząt okrągłe 1,000, z czego połowa była ze Śląska, Królestwa Polskiego, tudzież okolicznych parafij: Bolechowic, Radziszowa, Mydlnik, Krowodrzy i Nowej Wsi Narodowej (par. św. Szczepana)... Kiedy się odbywały dwie serye męskie, t. j. młodzieńców i mężczyzn, doprawdy nieraz była wątpliwość, czy można wystawienie SS-mi zrobić, takie pustki w Kościele. Chłopców było 200 i starszych mężczyzn tyleż. Pod koniec misyi prosił X. Nieć wikaryusz przy Kościele Panny Maryi i katecheta szkoły przemysłowej, by i dla jego młodzieży coś osobnego zrobić. W ciągu dnia są zajęci — więc wieczorami już po 7 godzinie się schodzili. Powiedzieliśmy im obaj z X. Krzyszkowskim parę nauk i na końcu przyszli do spowiedzi. Tych było około 300. Od czasu do czasu w ciągu misyi odwiedzał Kościół Najprzew. Książę - Biskup, by się przypatrzyć jak praca idzie. Dwa razy, t. j. na zakończenie seryi panien, tudzież na konkluzyę misyi był ze mszą ś. rozdawał Komunię i bierzmował. Na końcu za każdym

razem dorzucił ciepłe słowo, żeby się starali w dobrem wytrwać, unikali złych ludzi, nie czytywali pisemek przewrotnych; zachęcał przytem i gorąco nawoływał Najdostojniejszy Arcypasterz, żeby się zapisywali do Bractw, jakie w dyecezyi zaprowadził, t. j. Trzeźwości i Różańca św., bo co tyle dusz gdzieindziej od zguby wiecznej ratuje, i tu się przyda. Powoływaliśmy się też nieraz na te słowa Arcypasterza dowodząc, że Różaniec jest przeznaczony nietylko dla wsi i żebraków, ale dla wszystkich katolików, że Trzeźwość św. nietylko po wsiach cuda w parafiach robi, ale i tu jest koniecznie potrzebna. Sprawa na razie szła dosyć gładko: kiedyśmy przyjmowali do wspomnianych bractw, klękało wszystko co było w kościele — i można powiedzieć zapisało się dosyć dużo. W samej parafii zastaliśmy do św, Trzeźwości zapisanych dwoje, a po misyi (o ile sobie przypominam) liczba doszła 400. Obcych wiele się zapisało u nas, a reszta w swoich parafiach, Kart Tow. św. Trzeźwości rozdało się około 2,000. Czy sprawa ta, która na razie dosyć dobrze się zapowiadała, znajdzie wielkie poparcie i podtrzymanie — tegobym nie twierdził. Już w czasie misyi, kiedy szło o wpisywanie do księgi brackiej (co jest warunkiem nie do ważności obietnicy, ale do uzyskania odpustów), znaleźli się gorliwi zelatorowie tłumaczący całą sprawę np. tak: „Po co się ty będziesz zapisywać? Nie masz czerwonego nosa, toś nie pijaczka — nie chodź! Inni znowu mówili: „Ej! tak się też ten Biskup zaciął, jak żydówka w tańcu“ i t. p. To chyba i żydzi lepiej śś. rzeczy na swoją stronę komentować nie potrafią. Zwykle też po misyach od nich pierwszych podobne komentarze wychodzą — tu katolicy ich zastąpili. Żywy Różaniec tu niby istniał, ale jak kwiat pa-

proci... Na nawoływanie Księcia-Biskupa utworzyło się kilkanaście żywych Róż nowych — samych panienek, które chciały chodzić co niedzielę i po południu Różaniec śpiewać, było róż 7; ale zanim to znowu przeszło zwykłe formalności, tymczasem podobno zmarniało do szczętu.

Wszystko dzięki staraniom i opiece gorliwych zelatorów.

Tak się nam u ś. Floryana wiodło. Inne misye odbywamy i kończymy zwykle z tem westchnieniem: Żniwo wielkie, ale robotników mało; tutaj trzeba powiedzieć przeciwnie: Żniwiarzy dużo, ale żniwo liche. Doprawdy! Gdyby tak P. Jezus łaską swoją nie dodawał otuchy i gdybyśmy innych prac, które więcej pociechy obiecywały, przed sobą nie widzieli, ta jedna misya mogła nas zniechęcić, odjąć zapał i chęć do pracy przynajmniej na rok. Przy zakończeniu postawiliśmy nowy krzyż w miejsce dawnego, który już zbutwiał i nie bardzo przy kolegiacie estetycznie wyglądał. Będzie to może jedyny znak, że się tu w marcu 1897 odbyła misya.

Zakopane.

W sobotę przed Niedzielą Środopustną dnia 27 marca ruszyliśmy na drugą w tym roku misyę w górach z tem przekonaniem, że tu lepsze szczęście znajdziemy, skoro w Krakowie nie bardzo sprzyjało — boć i psalm mówi: *De torrente in via bibet, propterea exaltabit caput*, a i poeta dodaje: *W góry, w góry, miły bracie, Tam swoboda czeka na cię!* Wyjechaliśmy z Krakowa rano, koło południa byliśmy w Chabówce, skąd trzeba się było drapać po górach i dolinach 6 mil. W Nowym Targu odwiedziliśmy po drodze naszego dawnego pedagoga, a obecnie miejscowego pro-

boszcza X. Wawrzynowskiego, poczem dalej jazda przez wioski góralskie do Zakopanego. Miejsce to na cały świat (przynajmniej polski i europejski) znane, bo tu corocznie tysiące gości przyjeżdża: chorzy dla poratowania zdrowia, zdrowi dla wytchnienia, a jeszcze inni dla brojenia, czyli — jak powiadają górale — k'uli beśtefrantów“. Dawniej był to kąt dziki, dróg ani poczt nie było, dopiero od 20—30 lat Zakopane takiej sławy nabrało. Właśnie w tym roku przypadał 50-letni jubileusz, jak tu pierwszy proboszcz zmarły przed 4 laty ś. p. Józef Stolarczyk osiadł i jak parafię tę erygowano. Tuśmy zastali świat zupełnie inny od tego. jakim-eśmy się trapili przed kilku dniami. W niedzielę od samego rana garnął się ludek pobożny do kościoła — wszystko w jednakich mundurkach, guziki białe, kapelusiki im tu właściwe zdatne i serdaczki (t. j. kożuszki krótkie bez rękawów). Do sumy cały obszerny kościół napełniony już był szczelnie ludem, chociaż niektórzy wysłuchawszy rannego nabożeństwa odeszli do domów, żeby innych zastąpić. Nabożeństwo misyjne rozpoczęło się jak zwykle przed sumą. Hymn do Ducha ś., od którego każdą misyę rozpoczynamy, jakoś jędrniej i rzewniej wydobywał się tu z serc i piersi naszych, skorośmy te zbite tłumy przed sobą zobaczyli. Rzewna też była chwila, jak po wstępnej przemowie X. proboszcza klęknął nasz Senior (i my z nim) przed tym młodziuchnym kapłanem, a swoim elewem ze Seminaryum Stradomskiego, by od niego błogosławieństwo do pracy otrzymać. Misyę rozłożyliśmy na cztery stany czyli 16 dni. Ten sam nastrój pobożny i zapał, jakim-eśmy się na początku misyi ucieszyli, przetrwały aż do końca.

Praca była wprawdzie ciężka, bo tu jeszcze zie-

mia przez misyę nieruszana wcale, a z tych misyj jakie dawniej były w zwyczaju, zaledwie małe jakieś reminiscencye zostały. Przytem jednak i pociecha wielka nad tym ludem pracować, bo góral wprawdzie z natury przebiegły i sprytny, ale jak go sumienie ruszy, to serce na dłoń wyskakuje; do wszystkiego się przyzna. I to są właśnie delicye misyonarzy, jak widzą takie otwarte, szczere serca, na wszystko gotowe. Nie wszyscyć oni tu byli święci, to rzecz prosta; ale skoro się weźmie na uwagę dawne czasy, wśród których wyrośli, i obecne okoliczności w jakich zostają, wiele im chyba i P. Bóg i każdy z ludzi wybaczy.

Księdza dawniej u siebie nie mieli, bo należeli jakiś czas do Szaflar, a później do Poronina. Opowiadali nam starzy ludzie, jaki to porządek z młodych lat sami zapamiętali w Zakopanem: Do księdza się jechało: z dzieckiem do chrztu, potem do ślubu i z umarłym. Przyszła wielkanocna spowiedź, ojcowie ta niby wyprawili do Szaflar. Ale chciało się to iść tak daleko?! Zebrała się kompania, poleżeli w lesie, pogwarzyli i wrócili z niczem i tak całe lata upływały. Przed 50 laty dostali plebana; ale lud rozpity i rozpuszczony o nabożeństwie nie wiele myślał: nieraz bywało, że ksiądz przy ołtarzu P. Boga chwalił, a ludzie do karczmy pouciekali. Wielkie też około umoralnienia tego ludu zasługi położył ś. p. X. Stolarczyk, który na wzór Apostoła ś. *Omnia omnibus* wszystkiem dla nich się stał, czystej polskiej mowy nawet zapomniał, a przyswoił sobie taką gwarę góralską, żeby ich serca sobie pozyskać i tem skuteczniej nad ich oświeceniem i umoralnieniem pracować. Przebył tu z górą 40 lat. jako pierwszy tej parafii proboszcz. Szanowali go też górale jak patryarchę,

czcili i słuchali jako Apostoła swojego. Jako próbka tego, jaki to lud zastał i jak nad jego poprawą pracował, może posłużyć urywek z jego kazania, które miał na wizycie kanonicznej wobec ś. p. X. Kardynała Dunajewskiego r. 1886. Byliśmy wtenczas w Zakopanem na wakacyach i stąd to kazanie zapamiętałem. Mówił o darach Ducha ś. Tłumacząc dar mądrości i rozumu powiada tak: Duch ś. daje człowiekowi taką mądrość i naukę, że świat się na tem nie rozumie, ani jej nie zna. Nazywacie mądrym adwokata, który z krzywej sprawy potrafi i prostą zrobić. Uczonym nazywacie tego, co wiele czytał, umie rozmaite języki i t. p., a największa mądrość i nauka jest znać P. Boga i umieć duszę swoją zbawić. Kiedym ze ziemi ś. powrócił, przyszedł do mnie jakiś pan, cobyście powiedzieli, że on mądry, (bo i po francusku umiał) i pyta mnie: Widzieliście też Jegomość w Jerozolimie kości P. Jezusa zmartwychwstałego? Na to nie wiedziałem, co mu powiedzieć — chyba to, że głupi. Na to szczęście przychodzi jakaś kobieta do mnie; ja zaraz pytam: Słuchajże K. (aśka) są to kości Jezusa zmartwychwstałego na ziemi? Ta bez wahania odpowiada: Jakżeby były, Jegomość, skoro P. Jezus z duszą i ciałem do nieba wstąpił. Skoro to posłyszał ów mędrek poszedł zmieszany i zawstydzony i więcej ze mną nie mówił. Ta prosta K. miała większą mądrość, jak ów jegomość, który grube książki czytał. O bojaźni bożej znowu mówiąc, tłumaczył im jak to się trzeba grzechu bać i okazyi do niego unikać. Między innemi, jak chodzą do gości z grzybami lub jagodami, zakazane miały dziewczęta najsurowiej, żeby do mieszkania nie wchodzić, ale na ganku przed sienią czekać. Jedna nieposłuszna miała taki wypadek. Weszła pe-

wnego razu do mieszkania gości. a nie zastawszy nikogo w domu skradła parasolkę. Matka tej dziewczynki zamiast ją skarcić jak należało, zamknęła kradzioną parasolkę do skrzyni. Dopiero jak goście odjechali w zimie na sam św. Szczepan wyprawiła z nią córeczkę do kościoła. Proboszcz to spostrzegł i tą facecyą między innemi kazanie ubrał. Ale przepraszam, bom może zanadto od toku opowiadania odszedł.

Tą cichą, przystępną i prawdziwie apostolską pracą wiele tu dobrego zrobił: lud ciemny, zdziczały oświecił i do kościoła przyciągnął. Znał wszystkich parafian jak dzieci swoje, wiedział o wszystkich interesach i sprawkach, bo ze wszystkiem do niego się uciekali po naradę lub użalenie. Kiedy szli do niego do spowiedzi, zanim przystąpili do kratki, stawali przed konfesyonałem, żeby mu się sprezentować. A staruszek przypatrzywszy się każdemu osobno powiadał: No, no, znam cię, znam; cóż ta góral potrafi? chyba broić! — i już wiedział z którego końca ma zacząć. Starzy i nam się tak w czasie misyi prezentowali. Wielka jedna niedogodność utrudniała mu pracę w tej parafii, t. j. że kościołek skromny, drewniany, był stanowczo na pomieszczenie parafian za szczupły. Gdy zaś Zakopane zaczęło się wsławiać w Europie i z tego zakątka górskiego stał się punkt centralny wycieczek tatrzańskich, potrzeba nowego i to obszernego kościoła, jeszcze bardziej odczuć się dała. Napływ gości z każdym rokiem wzrastał, za nimi nadciągnęło wielu z okolicznych wiosek i miasteczek na stały pobyt, a kościołek nawet miejscowych parafian nie mógł pomieścić. W lecie większa połowa stała na cmentarzu pod gołem niebem; przyszła zima albo słota to uciekali do karczem, żeby się

zagrzać i pocieszyć. Zabrał się więc do budowy kościoła. Zwykle powiadają, że łatwiej kościół z kamieni wystawić, aniżeli duchowny w umysłach i sercach ludzkich zbudować; tu się miało przeciwnie: umysły i serca górali zdziczałych przerobił X. Stolarczyk, ale z kościołem sprawa szła trudno. Miał staruszek swoje plany, co się znowu nie wszystkim a zwłaszcza góralom podobało. Prowadził budowę jakie 20 lat; ale wszystko szło uporem i żółwim krokiem. Olbrzymiego tego dzieła dokonał obecny proboszcz X. Kazimierz Kaszelewski i to w kilku zaledwie latach, jak tu bawi. Stanął gmach obszerny, kosztowny, a jednak górale nie narzekają, że ich naciągnął — nawet nie wiedzą, kiedy i jak się to wszystko skończyło. W czasie misyi spotkałem jednego z jeszcze starej daty tutejszych patryarchów, który obszedł kościół kilka razy, obejrzał wszystko dokumentnie a potem stanął przed frontem i coś zamyślony kiwa głową a wzdycha. Zagadnąłem go: „A cóż tak, ojcze, medytujecie“? Je! Jegomość, powiada, taki też Wszechmocny i dobry ten P. Bóg; mieliśmy przedtem wielkie góry a teraz dał P. Jezus, że nam taki kościół wielki wyrósł“. Myślał poczciwiec, że kościoły rosną same, jak grzyby w lesie. Może to samo, chociaż w innem przekonaniu, powiedziałby X. proboszcz Kaszelewski, gdyby go spytano, skąd wziął fundusze na tak wspaniały kościół? Skromny, cichutki ten kapłan nie lubi o tem i wspominać, a jeżeli go kto zagadnie, ogólną odpowiedzią wymyka się na inny przedmiot. Mąż to prawdziwie opatrznościowy dla Zakopanego; jakoś wyjątkowo nie „prostemi“ ale osobliwszemi drogami sprowadził go P. Bóg z innych zupełnie stron, żeby mu tu ofiarować pole do pracy, św. popisu i wielkich zasług.

Przeszłego roku kościół ukończony; od przeszłej

jesieni zaczęto w nim nabożeństwo odprawiać, całe urządzenie wewnętrzne tudzież zewnętrzne ozdoby, żeby wszystko całości odpowiadało, jeszcze na głowie przezacnego fundatora. Ogrodzenie kościoła, które ma stanowić mur wspaniały, stylowy z „Ogrojcem“ i kaplicami Drogi krzyżowej obliczone jest na 20,000 złr., a organ, dzwony, ołtarze, stale, ambona najmniej drugie tyle kosztować będą. Z tego wszystkiego śmieje się proboszcz i powiada: Tyle się zrobiło — to i tym drobiazgom da się radę. W tym roku już po misyi wystawił i to w bardzo krótkim czasie plebanię, a jeszcze ma stanąć organistówka razem z „gospodą“ katolicką. Naturalnie, kiedy tu budynki jakby czarodziejską siłą stają nie wiedzieć kiedy i jak, to mogą górale myśleć, że ich się nie buduje ale same rosną zwłaszcza, że wszystko przeprowadza się albo wprost bez konkurencyi, albo też jeżeli są datki rozpisane, to nieznaczne tak, że ich parafianie wcale nie czują. Wystarczy kościół tutejszy i przyległe plebańskie budynki zestawić z niektóremi podobnemi budynkami większycd miast, żeby mieć wyobrażenie, co może zrobić jedna dusza miłością Bożą zapalona. Tu kościół wspaniały prawdziwie, jak na dom Boży przystało a nasze kolegiaty nieraz odarte, brudne, okopcone stoją.

Dla roztoczenia tem troskliwszej opieki nad parafią, zwłaszcza dziatwą, młodzieżą i chorymi myśli X. proboszcz sprowadzić do Zakopanego jakie żeńskie Zgromadzenie. Osiadły tu prywatnie jakieś siostry, ale nie wiele się dotąd ludziom dały poznać, a ludzie im.

Lud pomimo wszystkich właściwych góralom usterek bardzo nam się spodobał. Przez cały czas misyi na brak słuchaczy i penitentów nie było można

się żalić, bo co dzień kościół był zapełniony a konfesyonały oblężone. Misyę pojmują górale jako pospolite ruszenie, na które każdy musi się stawić. Stawiła się też wiernie cała parafia w komplecie, a chorych zaopatrywało się po domach. Jeden staruszek przeszło 80 lat liczący przyszedł też o kiju na misyę i wyspowiadał się. Misyonarz zdziwiony, że taki schorzały przyszedł do kościoła, pyta czemu w domu nie został? „Je! — Jegomość, powiada, nic nie pomoże — tak kobieta uchwaliła“. Na drugi dzień przyszli mu pogrzeb zamówić. Z pomiędzy młodzieńców dwaj jakoś się wahali przyjść i nie stawili się w pierwszym dniu, kiedy dla ich stanu nauki się rozpoczęły. Zaraz na drugi dzień zajeżdża buda góralska, przed naszą rezydencyą, żeby jeden z misyonarzy po nich jechał na egzekucyę. Pojechałem i jednego przywiozłem Józka; drugi zaś Maciek spostrzegłszy na co się to zanosi, drapnął przez pola do kościoła i dopiero też przy Zakopanem go dopędziłem. Chciałem go wziąć na wóz, ale na wszystko prosił, żeby mu tego wstydu nie robić, boby to wyglądało, że z Jegomością, jak z żandarmem jechał. Potem już chodzili obaj do końca swej seryi.

Kobiety apostołowały i tu doskonale. Jak zwykle o siebie dbały jako tako; ale o drugich troskliwie. Wróciły do domu, to wszystkie nauki powtarzały po swojemu i naturalnie z komentarzami. Chłopom niektórym te opowiadania więcej napędziły strachu, jak same nasze nauki. Jeden miał w domu u siebie coś z 5 kobiet: matkę, 2 siostry, bratową i jeszcze jakąś a wszystkie do jednej seryi misyjnej należały. Co przyszły wieczór z kościoła, dalejże opowiadać nauki, rozbierać rachunki sumienia etc., a potem się kłócić: nieprawda! bo tak wołali — a druga znowu inaczej po-

jęła... i biednemu chłopu prawie spać nie dały. W trzecim dniu seryi kobiet przybiega raniutko do Zakopanego, rzuca się krzyżem przed kościołem, bije głową o kamienie aż się pokrwawił i z całego gardła krzyczy: *Jegość! rozwiążcie mnie! ratujcie, bo już lecę do piekła.* Prawie szedłem ze mszą św. i byłem świadkiem tej sceny. Uspokoiłem go, poszedł ze mną do zakrystyi i koniecznie żądał spowiedzi. Wyspowiadał się pięknie z całego życia, poprawił, żeby jeszcze dokumentniej było — i poszedł uspokojony do domu.

W pracy pomagali nam chwilami X. Nycz prob. z Poronina ze swoim wikaryuszem, bawiący tu na kuracyi O. Bernardyn Figus, tudzież X. Wawro a raz był X. Szatyński ekspozyt z Bystrego — zresztą spowiadaliśmy sami z miejscowym X. Proboszczem i wikaryuszem X. Paluchem. Ponieważ była to zarazem spowiedź wielkanocna a kartki były równe, trudno było dojść ile się wyspowiadało na każdej seryi osobno; ogółem wyspowiadanych było przeszło 3,000 a parafia według ostatniego schematyzmu liczy 4,813 dusz.

Nieco twardziej szła sprawa z nałogowcami. Z pijakami jeszcze pół biedy: ku żydom już i tak dosyć reakcyi obudził miejscowy dziedzic hr. Zamojski, ślubowali też chętnie prawie wszyscy, którzy byli na misyi. Drugim występkiem, który tu trzeba było zwalczać i wykorzeniać, było z dawien dawna zakorzenione gwałcenie świąt przez oprowadzanie gości po szczytach, lub wyjeżdżanie z nimi na wycieczki. Po przyjęciu od mężczyzn obietnic, czyli ślubowań od pijaństwa, żądaliśmy od nich, żeby publicznie przyrzekli, że święta będą szanować; a choćby goście i najwięcej ofiarowali, to się uprą wszyscy jak jeden mąż i w święto z nimi nie pójdą w góry. Przyrzekli

i to, żeby zaś okoliczni sąsiedzi zwłaszcza z Poronina tutejszych nie zastępowali, już sam proboszcz X. Nycz przyrzekł na swoich parafian w tym względzie wpłynąć — zresztą i Zakopianie potrafiliby ich zbyteczną usłużność w danym razie powstrzymać. Wreszcie najtrudniejsza sprawa z rozwodcami i niezgodnikami. U górali jak zgoda, to zgoda; jak miłość, to miłość; ale też jak jedno drugiemu dokuczy, albo ubliży, dąsań, waśni nawet furyi nie ma granic. Było tu kilka par rozwiedzionych małżeństw. Po większej części błahe powody do tego kroku przywiodły odnośne strony. Prawie wszyscy obiecali poprawę — ale czy też słowa dotrzymają?.. Do wielu bractw na razie tuśmy ich nie przyjmowali, bo i proboszcz był tego zdania.

Góral, kiedy go gorliwość rozbierze, to jak te górskie strumyki po deszczu; ale potem znowu łatwo się w przeciwną stronę przerzuca. Na razie poprzestaliśmy na św. Trzeźwości. To bractwo miało być dla nich próbą, jak też uszanują i zachowają swoje postanowienia na misyi uczynione. W dniu oddania parafii w opiekę Najśw. Panny t. j. w Niedzielę Kwietnią d. 11 kwietnia poświęciliśmy chorągiew bracką, którą jedna z pań tutejszych podarowała. Misyę zakończyliśmy w Zakopanem d. 13 kwietnia. Po postawieniu krzyża, jeszcześmy do późnej nocy spowiadali. Następnego zaś dnia w Wielką Środę wróciliśmy na Święta do swoich.

K ę t y.

Trzecia tegoroczna praca nasza wypadła w Kętach (powiat Bialski, dekanat Oświęcimski). Żeby na czas stanąć i dogodnie zajechać za dnia, wybraliśmy się na tę pracę w sobotę przed Niedzielą Przewodnią.

Obraliśmy drogę koleją transwersalną do Kalwaryi a potem ku Białej koleją północną. Na miejscu stanęliśmy około godz. 2-ej popołudniu. Tu nas serdecznie przyjął Dziekan i proboszcz miejscowy X. Warmuz. Popołudniu było trochę wolnego czasu, z którego korzystając odwiedziliśmy OO. Reformatów, żeby im uszanowanie złożyć i pomoc w pracy sobie zapewnić. Reszta czasu do wieczora zeszła na odmawianiu pacierzy i pogawędkach. Księża nam opowiadali rozmaite szczegóły dotyczące stanu parafii, co się nam później bardzo przydało, bośmy wiedzieli z góry w którą stronę mierzyć. Misya rozpoczęła się uroczyście na sumie w Niedzielę Przewodnią 25 kwietnia. Parafia liczy około 7,000 dusz, więc wypadło znowu na dłuższy czas misyę rozłożyć. Jakieś osobliwsze w tym roku szczęście: misye długie się sypią jedna po drugiej a wszystkie w takich sławnych, osobliwszych miejscach. (!) Kęty — miasteczko dosyć ładne położone nad Sołą, u podnóża ślicznych gór a słynie ta parafia w całym świecie katolickim jako miejsce urodzenia św. Jana Kantego. Niestety dawno już przeminęły te czasy, kiedy Kęty świętych wydawały. Św. Jan budował wszystkich swoją pobożnością, był przywiązanym synem Kościoła, wiary św. się trzymał i takowej innych nauczał; dziś tu uczciwymi kapłanami gardzą, słuchać ich nie chcą. W czasie misyi przyszedł jeden do proboszcza domagając się zwrotu opłaty, jaką za pogrzeb przeszłego roku złożył, bo teraz nowy statut socyaliści ogłosili. (!)

Nawoczesnych gazeciarzy i socyalistów tu główna siedziba i centralne na całą okolicę bióro. Kapłana wyklętego czczono tu jakby świętym był: były baby tak zacięte w swym uporze, że w czasie kiedy księża

klątwę na X. Stojałowskiego rzuconą głosili, one na złość przed jego fotografiami lampki paliły. A pijaństwo jakie tu było, tego zmierzyć i opisać trudno. Nabożeństwo do tutejszego św. Rodaka utrzymuje się tu tradycyonalnie. Co rok w Jego uroczystość odbywają procesyę po rynku; kościółek pod wezwaniem tegoż świętego jeszcze w r. 1648 wybudowany i dotąd tuż obok kościoła parafialnego istniejący starannie utrzymują i mają do niego wielkie przywiązanie: niejeden z tutejszych mieszkańców do kościoła nie pójdzie, ale tu to przyjdzie się pomodlić. Dziecka zapytać: Kto jest w niebie? to odpowie: P. Jezus, Najśw. Panna Marya i św. Jan Kanty".

Kobiety dopisały najlepiej: stanęło ich 1,400. W domach tymczasem kłopot, bo mężczyźni rady sobie z dziećmi dać nie mogą. Jeden z nich, kiedy mu już było za dużo, przyniósł na rękach dziecko do kościoła a znalazłszy żonę, rzucił je przed nią na ziemię — i uciekł. W czasie tej seryi jakaś kobieta z Malca (par. Osiek) wracając z Kęt do domu nagle umarła. Jedni mówili, że dostała kurczów, inni przypuszczali, że z pijaństwa. Wywołało to ogromny postrach między naszemi pokutnicami i tem chętniej się do św. Trzeźwości zapisywały. To znowu było zachętą i przykładem dla innych stanów tak, że z małymi wyjątkami prawie wszyscy ślubowali a jeden z wikaryuszów X. Siuda naznaczony specyalnie na zelatora zdążyć z zapisami nie mógł.

Dziewcząt przyszło 1,000. Na zewnątrz miny napuszone, szumne a przytem uparte i zuchwałe. Posłyszały i one słowa prawdy a to podobno na takie wady najlepsze lekarstwo bo i św. Grzegórz mówi, że *in arte medicinae contraria contrariis curantur*. Kawalerów było 800. Znowu tych samych antydotów

używaliśmy i, ile nam się wydawało, zmiękli na końcu, spuścili z tonu, a przywiązali się tak, że na następną misyę do Osieka ze 3 mile z chorągwiami przyszli i tu w Krakowie nas odwiedzają czasami. Założono tu dla nich przed kilku laty Stowarzyszenie pod opieką św. Józefa; ale gdy na przewodniczącego wkradł się skryty socyalista i zagorzały Stojałowczyk, wszystko się zaczęło chwiać; obecnie zarządzono nowe wybory i stowarzyszenie zreformowano. W dzień oddania parafii w opiekę Najśw. Panny, co przypadło razem ze świętem Opieki św. Józafa, mieli osobne nabożeństwo.

Mężczyzn zebrało się 900 — dosyć mało na taką parafię. Podobno niektórzy ukradkiem słuchali nauk a ze spowiedzią poszli do OO. Reformatów, żeby ich tu czasem do Trzeźwości nie chwycili — a byli i tacy, którzy wcale nie przyszli.

Karciliśmy ich *opportune*, *importune*. Ślubowali wszyscy, którzy przyszli, o co niektóre żony nowenny odprawiały z dziećmi. Spowiedzi szły poważnie i dosyć tępo, ale przy pomocy i miejscowych OO. Reformatów i XX. sąsiadów, których z całego dekanatu zacne serce X. Dziekana potrafiło przyciągnąć, daliśmy wszystkim radę a prócz tego nieco niedobitków z Czańca, Kóz, Bulowic przy nich się wyspowiadało. Zakończyliśmy misyę d. 11 maja i tegoż dnia popołudniu wróciliśmy znowu na wypoczynek do Krakowa. Żydzi przeboleć nie mogli klęski, jaką przez misyę ponieśli a nie mogąc się na nas zemścić, krzyż misyjny bezcześcili w najrozmaitszy sposób.

Osiek.

Wypoczynek tym razem mieliśmy nie długi, bo już w sobotę 15 maja trzeba się było na dalsze

i ostatnie w tej okolicy prace wybierać. Jechaliśmy koleją do Oświęcimia, stąd wozami na samo miejsce. Całą drogę deszcz nam towarzyszył ulewny; z początku mieliśmy jaki taki gościniec, potem same kałuże i błota po uszy — bo kamienia tu i na lekarstwo trudno dostać. Przemoknięci, zabłoceni stanęliśmy na miejscu dopiero pod wieczór. Tu na wikarówce przyszłej rezydencyi naszej powitał nas X. proboszcz i tuśmy się rozgościli. Jedna połowa tego lokalu właściwe mieszkanie dla wikarego — jeszcze jaka taka; druga przeznaczona na kancelaryę gminną — nieznośna: ściany przesiąkłe od fajek i wyziewów chłopskich, piec rozwalony, raz zapalili — to się tylko nadymiło; słońce chyba tu cały rok Boży nie zajrzy. Tuśmy obaj z X. Krzyszkowskim trafili. Na noc dano nam jakieś cieplejsze nakrycia; ale i te jakieś przetlałe, stare i rzadkie — przez noc posiwieliśmy do reszty na poczekaniu, bo pełno pierza do włosów się nabiło. Wspominam tu o tych drobnych niewygodach nie, żeby je P. Bogu wymawiać, ale że to czasem niektórych i zazdrość zbiera, za tem życiem misyjnym i wyobrażają je sobie może zanadto z poetycka. Ta strona misyi nie bardzo tu dopisała, chociaż na razie lepiej zrobić się nie dało — to zresztą najmniejsza i na to się nie zważa. Za to lud znaleźliśmy tu śliczny, praca nad nim to nie trudy żadne, ale raczej delicye. Misya zaczęła się 16 maja w niedzielę na sumie. Po *Veni Creator* X. proboszcz, poważna persona i okazała a w wysłowieniu biegły, przemówił od ołtarza przypominając to zdarzenie z Pisma św., że kiedy żydzi prowadzili wojnę, Mojżesz wstąpiwszy na górę wznosił ku niebu ręce i przez to wyjednywał dla wojujących błogosławieństwo Boże. A kiedy mu już ręce omdlewały

ze znużenia i zaczęły spadać i wojownikom się nie wiodło. Dla tego wyznaczono ludzi osobnych, którzyby ręce Mojżeszowi podtrzymywali, a tak, żeby i błogosławieństwo Boże ich nie odstępowało. Z tego zdarzenia zrobił alluzyę do Kościoła wojującego. Gdy wierni z dnia na dzień muszą staczać boje z nieprzyjaciółmi zbawienia, my kapłani pracą swoją podtrzymujemy ich na duchu, a modlitwami wyjednywamy dla nich błogosławieństwo niebios. Ale i nam trzeba pomocy, bo siły przy ustawicznej pracy parafialnej opuszczają — i ręce nasze mdleją. Na zaradzenie tej znowu potrzebie Opatrzność Boska używa w Kościele misyi. Od czasu do czasu posyła Bóg osobnych kapłanów, żeby szli od parafii do parafii, upominali lud i zbłąkanych na drogę Bożą prowadzili a kapłanów na duchu pokrzepiali. „Co do ludu tutejszego, do któregoście, Szanowni Ojcowie, przybyli — dodał — to wam mógę na wstępie waszej pracy dać zapewnienie: znajdziecie tu grzechy — bo i gdzież ich niema? ale też znajdziecie i wiarę piękną i skruchę serca, posłuszeństwo i powolność na rozkazy wasze. Co zaś do mnie, nie uważajcie i nie traktujcie mnie, Ojcowie, jako tuteiszego gospodarza i rządcę parafii, ale jako pokutnika razem z tym ludem, którego prowadzenie w ręce wasze na czas misyi oddaję“.

Praca się zaczęła. Ponieważ prawie cały tydzień poprzednio lało bez przerwy, przy tem śnieg pokrył zasiewy tak, że roboty w polu były powstrzymane, prosili mężczyzni, żeby się mogli odbyć, zanim ziemia obeschnie. Wzięliśmy ich najprzód. Męzkiej seryi t. j. gospodarzy i chłopaków było 900; kobiet i dziewcząt 1,100. Lud rzeczywiście, jak go proboszcz przedstawił miękki, potulny i posłuszny. Do św. Trzeźwo-

ści wielu już należało, reszta przystała na misyi i to bez wszelkich targów. Rzadko na misyi taki się lud znajdzie, jakim nas tu P. Jezus pocieszył. Prócz gorliwych i zacnych kapłanów, którzy w Osieku pracowali wiele się do tego przyłożył i obecny wójt a zarazem poseł do sejmu p. Franciszek Kramarczyk. Podczas misyi poznaliśmy go bliżej. Jest on w gminie nie tylko wójtem, ale i pisarzem i policyantem i radcą i wszystkiem. Szkoły zaledwie zwykłe ludowe skończył a potem prywatną pracą wyrobił się w języku niemieckim tak, że wcale gładko po niemiecku mówi. Logika i chłopski rozum i pamięć u niego zdumiewające. Na zebraniach i wiecach jak zacznie prawić socyalistom i wichrzycielom, to najmędrsi krzykacze milkną. X. Stojałowski kilka razy z nim korespondował i na miejscu u niego bywał, chcąc go swojej agitacyi zjednać, ale jak mu p. Kramarczyk zaargumentował, to zgłupiał i więcej go nie kusił. Jeżdżąc światami, gdzie tylko się o czemś dowie, co może dobrobyt włościan podnieść, gospodarstwo udoskonalić, to do swojej gminy sprowadza, tego swych włościan uczy; chociaż nie wszystko i nie od razu może się w mózgownicach Osieczan pomieścić. Takich przedstawicieli i opiekunów, żeby miał lud nasz więcej, nie wierzyłby tak łatwo nowoczesnym krzykaczom, nie narzekałby tyle na wyzysk i uciski.

Ponieważ w sąsiedztwie równocześnie OO. Reformaci odprawiali misye, a z drugiej strony już Książę-Biskup odbywający wizytę kanoniczną się zbliżał, nie wiele mieliśmy pomocy w słuchaniu spowiedzi. Spowiadaliśmy przeważnie sami z miejscowym proboszczem tudzież sławnym apostołem Rajczy a obecnie proboszczem z Bielan X. Waszkiewiczem. Po zakończeniu misyi i postawieniu krzyża odpro-

wadzili nas paradnie z muzyką na plebanię. Tu przemówił do nas dziękując w imieniu gminy za misyą p. Kramarczyk. Zaczął swą mowę po katolicku jakby kazanie i przytoczył na początku słowa Zbawiciela Naszego: *Tak niechaj świeci światłość wasza przed ludźmi, aby widząc uczynki wasze, chwali wszyscy Ojca Waszego, który jest w niebiesiech.* (Matth. V, 16), i tak mniej więcej mówił: „W czasie tej św. misyi, którąście, Czcigodni Ojcowie, u nas przez 8 dni dawali, słuchaliśmy z zajęciem waszych kazań i brali je sobie do serca. Najwięksi grzesznicy uznali swoje błędy i pojednali się z Bogiem. Ale więcej jeszcze jak te nauki wasze, przemawiały do naszych serc wasze uczynki. Budowaliśmy się, jak codzień od rana do wieczora widzieliśmy was pracą w kościele zajętych, to znowu jakeście się modlili i nabożeństwa odprawiali. Wierzcie, Czcigodni Ojcowie, że dla nas biednych włościan nie tyle znaczy martwe słowo ewangelii, jak raczej życie ewangeliczne, które u sług bożych widzimy — i to nas do Boga pociąga. Napracowaliście się dużo, natrudzili z nami — a czemże my się wam odwdzięczymy, skoro nic nie mamy? Prawdziwie biedni jesteśmy. Gdyby nam to kto przed misyą był powiedział, żeśmy biedni, tobyśmy byli może i obrazili się o to; ale teraz sami to możemy z wszelką pewnością twierdzić, bośmy od was słyszeli, że nic nie mamy tu na ziemi, nic, a co mamy i to nam odbiorą i z tego nas wyniosą. Żyjemy wszyscy jak komornicy na tej ziemi. Ale mamy jeden weksel; weksel, którego w żadnym banku na brzęczącą monetę nie zmieni — i ten wam dajemy. Kiedy staniemy na sąd Boski i gdy Sędzia sprawiedliwy przechodząc rachunki życia waszego, zapyta: Czemże się Sprawiedliwości Mojej opłacicie? będziecie mogli, Czcigodni OO. ten

weksel wyciągnąć i powiedzieć: Oto, Zbawicielu, mamy tu weksel, któryśmy od Osieckiej parafii dostali. Wszyscy grzesznicy tam przez misyę naszą nawróceni i z Tobą pojednani, sprawiedliwi w dobrem utwierdzeni, cała ta parafia prosi, byś ułomności nasze darował i do Królestwa swojego przyjął". Mowa ta i lud i nas samych do łez pobudziła. Uklękli wszyscy, pobłogosławiliśmy ich raz jeszcze i udali się na probostwo. Muzyka znowu zaczęła wygrywać, a ci płaczą i płaczą. Długo tak jeszcze oblegali plebanię — wreszcie się rozeszli.

G ł ę b o w i c e.

Z Osieka przeprawiliśmy się wprost do Głębowic, sąsiedniej parafii bo tu jeszcze ostatnia misya w tym dekanacie czekała. Zaczęliśmy pracę na nabożeństwie majowem d. 24 maja. Od ołtarza powitał nas X. proboszcz Klima. Na początku serdecznej swojej przemowy przytoczył słowa Zbawiciela w domu Zacheusza wypowiedziane: *Dziś stało się zbawienie temu domowi.* Następnie wspominał, jak to za Zbawicielem nieprzeliczone tłumy ludzi rozmaitych i pobożnych i bezbożnych biegały, jedni żeby nauk Jego posłuchać i z nich skorzystać, inni, żeby go na słówku jakiem podchwycić, a najwięcej było takich, którzy się chcieli Jego słodkiem, boskiem Obliczem nacieszyć. I w Głębowicach mniej więcej te same przyczyny się złożyły, że przy powszednim dniu kościołek parafialny ludem się napełnił: przyszli tu jedni słuchać i korzystać z nauk misyjnych; może są i tacy, którzy jak faryzeusze będą słuchać słowa Bożego, nie żeby je sobie do serca wzięli, ale żeby to przetrząsać, złym ludziom donosić i t. p., a wszyscy i dobrzy i źli dziś zbiegli się do kościoła, żeby się po-

raz pierwszy przypatrzyć obliczom tych „szanownych i uczciwych“ misyonarzy, których do tej parafii sam Pan Bóg przez Biskupa dyecezyi posyła. Dalej przypomniał przypowieść ewangieliczną o dobrym pasterzu, który 99 dobrych, wiernych owieczek opuścił, a poszedł szukać jednej zbłąkanej. „I ci „szanowni i uczciwi“ Ojcowie — dodał — w Krakowie mają owieczek dużo, bo z całej Polski jak długa i szeroka i z Prus i tu z Galicyi ludzie się garną, a oni ich pouczają, spowiadają, a przytem jeszcze przenocują i posilą jak mogą. Tamte owieczki opuścili, a do tej jednej zbłąkanej, t. j. maluczkiej parafii naszej, do tego zakątka pospieszyli, żeby i nas łaską Bożą obdarzyć“. Wreszcie do nas się zwracając dodał: „Szczęśćże wam Boże i błogosław, zacni i uczciwi Ojcowie, i nauki i doświadczenia waszego (boście już nie jedną parafię przeszli) użyjcie, żeby i tutejsze owieczki zbłąkane odszukać, upadłe podźwignąć, a dobre utwierdzić“. Tu udzielił nam błogosławieństwa. Nabożeństwa wstępne do wieczora się ciągły. Potem udaliśmy się do dworu WW. PP. Duninów, bo tu nam kwaterę naznaczono, gdy na szczuplutkiem probostwie nie podobna było i kącika wolnego znaleźć. W Osieku mieszkanie i rzeczy, które jego są, dopisały nie bardzo, za to lud znakomity; tu znowu mieszkało się w pałacu wspaniałym, wygód się miało nad uszy; za to znowu lud nie osobliwy. Tylkośmy przyjechali, pierwszy parafianin sprezentował nam się pijak i to gospodarz poważny: podchmieliwszy sobie porządnie przyszedł pod kościół awantury wyprawiać. Ale skoro tylko wytrzeźwiał na drugi dzień przyszedł przepraszać za wszystko i na misyi ślubować. Sam wójt — biedak, ofiara kieliszka, do tej perfekcyi doprowadził, że litrami rum wychylał, już po-

czątki delirium zaczęły się objawiać, a przytem z dnia na dzień taki niepoczytalny, więc musiano go zasuspendować i nowe wybory rozpisać. Człowiek skądinąd poczciwy, w tym tylko punkcie słaby, a na wójtostwie do reszty się wydoskonalił. Jeżeli pryncypały gminy takie, to łatwo sobie wyobrazić jaka u reszty gminy trzeźwość panowała. A co najgorsza — przy kieliszku zapoznali się z nowomodnemi gazetami i do zagorzałych zwolenników X. Stojałowskiego wielu przystało. Już łatwiej największego zbrodniarza, kryminalistę skruszyć i nawrócić, jak takiego człowieka, który żadnej wiary niema, w księdzu widzi tylko urzędnika, szpiega, albo – jak zwykle za swoim hersztem powtarzają — człowieka, który z panem trzyma. Tę zarazę wprowadził tu i rozpowszechnił organista, karykatura niezgrabna, ni to śpiewu, ni to biegłości w palcach nie ma. Przyjął go poczciwy proboszcz z litości, bo nigdzie nie mógł dostać posady, niestety — żmiję sobie wychował. Ten człowiek na chórze schadzki zwolenników nowych idei zbierał, tam w czasie nabożeństw i kazań gazetki rozdawał i zmieniał, wreszcie dobroczyńcy swojemu tak życie zatruł, że tenże sprzykrzywszy sobie pasterzowanie pomiędzy takimi pasierbami dobrowolnie z probostwa ustąpił. Oddalać go nie chciał, bo wplątawszy się poprzednio w nieprzyjemny z podobnych powodów z własnymi parafianami proces nie chciał powtórnie na coś podobnego się narażać.

Całe pasterzowanie tego zacnego i poczciwego kapłana w tej parafii takiemi zgryzotami było przepełnione. Kiedy się miał sprowadzić do Głębowic na proboszcza (jeszcze przed 23 laty), ktoś mu taki wierszyk na drzwiach wypisał: „Spamiętaj to sobie Bartłomieju Klima, że w Głębowicach miejsca dla ciebie

niéma!“ I dobrze mu wyprorokował. Parafia maleńka, a taka dokuczna.

Pijaństwo od misyi ustało — tak przynajmniej można było przypuszczać, bośmy przyjęli około 500, a i poprzednio było trochę zapisanych. Przytem i dwór na wskroś katolicki, jak rzadko, zacny, wiele pomógł. Karczmisko wielkie, blisko kościoła, gdzie tylu gospodarzy majątki swoje zaprzepaściło, ofiarował p. Kolator Dunin na szkołę. A przytem obydwoje proboszcza w pracy popierają, gdzie mogą do ludu się zbliżają, perswazyą, dobremi radami tym biedakom dopomagają. P. Kolator prawie ustawicznie na wózku, tworzy kółka, towarzystwa, kasy — wszystko w interesie chłopów. Tu dwór i włościanie — to jak jednej rodziny dzieci starsze i młodsze. Rzadki to dziś taki typ staropolskiego dworu.

Czytelników „Pszczółki“ wielu wytrzeźwiało — ale kilku (4) oświadczyło, że i o rozgrzeszenie księży nie stoją, a za Stojałowskim pójdą choćby i do piekła. Jaka to różnica Osiek a Głębowice!

Kobiet i dziewcząt było 400; chłopców i chłopaków 350. Naturalnie samiśmy wszystko wyspowiadali, a gdy się tak dalece nie było do czego zapędzać, już w niedzielę d. 30 maja skończyliśmy misyę. Po postawieniu krzyża i pięknej nauce X. Krzyszkowskiego, pożegnał nas X. proboszcz przydłuższą mową. Zaczął od słów Ewangelii ś.: *Godzien jest robotnik zapłaty swojej* i powiedział, że są niektóre czyny wzniosłe i szlachetne, że za nie dostatecznie wywdzięczyć się i owych wynagrodzić nie potrafimy nigdy. Gdyby ktoś człowiekowi tonącemu uratował życie; albo niewinną panienkę z rąk niegodziwego napastnika oswobodził i ochronił skarb, który ona sobie więcej waży, jak wszystkie bogactwa świata — toby

były takie czyny nieocenione — niewynagrodzone. „Ci — mówił dalej — uczciwi, szanowani, pracowici, a nadewszystko pobożni misyonarze w czasie misyi, jaką tu odprawili jeszcze większe dzieła tu spełnili: dusze wasze tonęły w grzechach, oni je wyratowali; nie jeden oddał się pod władzę i panowanie szatana, oni go obronili. Codzień od rana do wieczora widzieliście ich, jak brewiarze mówili, medytacye odprawiali, a potem to na ambonie, to w konfenfesyonale pracowali. Macie im za co dziękować! Do tejże wdzięczności czuję się zobowiązanym i ja tutejszy pleban, wasz pasterz. Przez 23 lata pobytu mego w tej parafii może nie jedną rzecz brałem zbyt pobłażliwie, inne znowu może za ostro, może nie wszystkiego dopilnowałem jak należało. Dziś żegnamy tych Ojców, a niedługo i ja się z wami rozstanę. Wszyscy się dopiero na sąd boski zejdziemy. Staniecie tam i wy, owieczki moje — i ja wasz pasterz, zgromadzą się dzieci i rodzice, będą tam z nami i ci Ojcowie, którzy misyę u nas odprawiali. Kiedy mi przyjdzie za was rachunek składać przed Bogiem, oni będą pociechą moją, bo co ja w urzędowaniu swojem zaniedbałem lub opuściłem, oni to uzupełnili, głosili wam jasno zrozumiałe prawdy Boże i 5 razy jedno powtarzali, pogłębiali, żebyście dobrze mogli zapamiętać. A więc wszyscy razem i wy, parafianie, i ja wasz proboszcz, dziękujemy OO. Misyonarzom za prace i trudy podjęte, a gdy inaczej nie możemy, staropolskim zwyczajem dziękujmy: „Bóg zapłać Wam! — Bóg zapłać i raz jeszcze Bóg zapłać!

Płacz znowu i jęki rozległy się jak na pogrzebie, a myśmy zaśpiewali *Te Deum* i zakończyli nabożeństwo. Popołudnie spędziło się trochę w kościele, resztę na plebanii i we dworze, gdzie nas bawił swym

konceptem staruszek proboszcz, a na zajutrz raniutko ruszyliśmy na Zator do Krakowa. Tyle było w tym roku na wiosnę pracy na ziemi krakowskiej.

Porąbka Spytków (dyec. tarnowska, powiat Brzeski).

W Tarnowskiej dyecezyi po inne lata tak obfita czekała praca nas, w obecnym roku jednę tylko odprawiliśmy misyę. Może to i dobrze tak P. Jezus zrządził, że nam tu wypoczynek dano, bo wezwaniom dwóch dyecezyi z biedą zdołaliśmy zadość uczynić, cóż dopiero jakby się jeszcze byli stąd odezwali?

Misya w Porąbce za Brzeskiem zaczęła się w samą Trójcę Przenajśw. 13 czerwca, a trwała 8 dni. Parafia mała, tośmy sami wszystko zrobili. Do pracy stanęła tu cała czwórka nasza, jaką przeszłego roku złożono: XX. Kamiński, Konieczny, Krzyszkowski i ja. Z zewnętrznych parad, ładnie się udała procesya Bożego Ciała, było 4 ewangielistów, czego chyba Porąbka nie pamięta, jak dawno istnieje. Lud dobry, w gruncie uczciwy, ale przytem jakiś ciężki, powolny. Wielu jeździ na zarobki do Wiednia, Ostrawy, Saksonii — to i broić potrafią. Zarzucili naprzód ubiór swoich przodków, a z tą zewnętrzną ogładą dawna pobożność ostygła, karność zluźniała, obyczaje się nadpsuły. Slubowali dosyć tępo. Do spowiedzi mieliśmy: kobiet i dziewcząt 600, chłopów i chłopaków 430, dzieci szkolnych 75. W czasie misyi odwiedzali nas po starej znajomości parafianie z Jasienia i Brzeźnicy; w obydwóch tych parafiach pracowaliśmy przed dwoma laty. W Jasieniu podobno już się ślady misyi zaczęły zacierać. Brzeźnica się dzielnie trzyma; dzielny proboszcz X. Piaskowy podtrzymywał, z wła-

ściwą sobie gorliwością owoce łaski misyjnej. Ale właśnie w jedną niedzielę wygłosił kazanie na text: *Innego pocieszyciela dam wam!* a na drugą już inny kapłan ukazał się na ambonie — bo X. Piaskowy przeniósł się na innne probostwo do Łącka. Płacz niesłychany parafian, z jakim tę wiadomość przyjęli świadczył najwymowniej, jak sobie zacny pleban ich serca pozyskał. Przyszli do nas, żeby ich też pocieszyć.

Dnia 22 czerwca po skończeniu prac w tej parafii, wróciliśmy do Krakowa i trafili prawie na procesyę Bożego Ciała u naszych Sióstr w Domu Centralnym na Kleparzu wspaniale obchodzoną. Potąd granica prac naszych z tego czasu w zachodniej Galicyi.

Misye na „Pokuciu“ w Archidyecezyi lwowskiej.

Niebawem wezwani zostaliśmy przez Najprzewielebniejszego X. Biskupa Webera do pracy w zupełnie innym świecie — aż na dalekim Wschodzie i drugim krańcu Galicyi. Tuby chyba należało inne źródło wrażeń odszukać i innego użyć pióra żeby trafnie opowiadanie do rzeczywistości zastosować, nie ująć, nie dodać, tylko to co się należy powiedzieć, i jak należy ocenić.

Sama podróż nasza w te dalekie strony miała osobliwszy wygląd, bo trzeba się było wybrać jak w zamorskie strony. Nabiliśmy rekwizytami kufry, a serca uzbroili w cierpliwość i odwagę, żeby się niewygodami dalekiej podróży, zwyczajami i obyczajami ludu innego jak ten, nad którym pracowaliśmy dotąd prawie wyłącznie, nie zniechęcać.

Jako pole pracy misyjnej wyznaczony nam został dekanat Horodeński przytykający już do Bukowiny. Jedną parafię t. j. Gwoździec obrobili OO. Jezuici; dla nas została reszta. Żeby się na czas z pracą uwinąć, a i siły nie bardzo stargać, rozdzieliliśmy się na dwie serye. Pierwsza, do której należeli XX. Krzyszkowski, Rossman i Domaradzki miała wziąć 3 parafie: Chocimierz, Żuków i Obertyn. Pod dowództwem X. Krzyszkowskiego dali misyę w Chocimierzu (od 23 czerwca do 5 lipca). Następnie w tygodniu od 5 do 11 lipca pracowali w Żukowie. W Chocimierzu zachorował X. Rossman i musiał się schronić najprzód do Stanisławowa do Sióstr naszych, a następnie do Lwowa. Pozostali dwaj do upadłego ciągli misyjne jarzmo w Żukowie, a gdy tu potracili głosy i stargali siły, musieli dalszej pracy zaprzestać — Obertyn na razie został jak sierota. Do naszej seryi należeli: XX. Kamiński, Konieczny, ja i X. Dudek, a wyznaczone mieliśmy parafie: Śniatyn, Horodenkę, Czernelice i Michalcze.

Do Lwowa przybyliśmy po ś. Piotrze. Tu otrzymawszy błogosławieństwo i potrzebne władze z rąk J. Excellencyi Najprzewielebniejszego X. Arcybiskupa Morawskiego, wybraliśmy się raniutko w sobotę d. 3 lipca na pole pracy. W podróży tej przejeżdżaliśmy przez miejsce strasznej katastrofy pod Kołomyją, gdzie przed kilku dniami (w nocy z 27 na 28 czerwca) pod pociągiem osobowym skutkiem oberwania chmury most się zarwał, 9 ludzi znalazło śmierć w bałwanach wezbranego nagle potoku, a 12 osób ciężko rannych. Widzieliśmy te wagony porozbijane do szczętu, strzępy z sof i resztki firanek. Sześć trupów już wydobyto, trzech jeszcze szukano. „Strach ma wielkie oczy“ powiadają. Ze strachem też jechaliśmy,

przesiadłszy do innego pociągu (który od Kołomyi po nas przyjechał), a widząc to wały kolejowe popodmulane, to drzewa pokręcone i nalepione mułem — resztki strasznego wypadku, minęliśmy Kołomyję poczem niedługo zawołano „Sniatyn“! i wyskoczyliśmy z wagonu, jak Noe po potopie z arki, uradowani, że nas P. Bóg szczęśliwie na ziemię Pokucką zawiózł. Tu na nas czekali: Przew. X. Dziekan i kanonik Nowobilski, tudzież X. kan. Fiszer prob. śniatyński ze swoim wikaryuszem.

Horodenka.

Mieliśmy zacząć pracę od Śniatyna, bo bliżej kolei i po drodze nam wypadało; ale gdy uważano inny plan za stosowniejszy, zdecydowaliśmy się na drogę dłuższą. Po krótkim wypoczynku i posiłku w Śniatynie ruszyliśmy niebawem w dalszą drogę. Przew. X. Dziekan postarał się dla nas o wspaniałe powozy, to się ani czuło i nie wiedziało, kiedyśmi 4 mile z okładem przejechali. Zmrok już zapadał, słońce zaszło, kiedyśmy wśród huku moździerzy, poważnego dźwięku dzwonów zajechali przed kościół w Horodence. Miejscowy wikaryusz X. Kosztyło na czele procesyi tu nas powitał i wprowadził do bazyliki, w której przed 100 laty konfratrzy, praojcowie nasi w powołaniu P. Boga chwalili. Odbyło się krótkie nabożeństwo, poczem udaliśmy się do naszego dawnego domu, a obecnie probostwa. Od razu dawne czasy stanęły żywo w pamięci; zmęczeniśmy byli całodzienną podróżą, głowy jeszcze strachami nabite, a jednak ciekawość brała dowiedzieć się co, gdzie, jak za owych czasów było? Dawny gmach misyonarski obszerny mieścił w swych murach kilkunastu misyonarzy i konwikt chłopców, który tu pod ich opieką

i kierownictwem zostawał; obecnie obcięto znaczną część tego budynku na starostwo, sąd, urząd podatkowy i areszt, a proboszczowi zaledwie kilka salek zostawiono, w których sam z wikaryuszem mieszka. Po wieczerzy rozdzielono nas na mieszkania: XX. Kamiński i Konieczny zostali na probostwie, a mnie z X. Dudkiem przyjął do siebie przezacny tutejszy proboszcz obrządku ormiańskiego X. kan. Kosiński.

Nazajutrz w niedzielę d. 4 lipca rozpoczęliśmy misyę jak zwykle przed sumą. Rozpoczęcie to odbyło się arcywspaniale. Kościół ślicznie ustroiły Siostry Miłosierdzia, od samego rana bito z moździerzy, sumę odprawiliśmy z asystą, czyli jak rusini powiadają „soborną“. Taka zewnętrzna okazałość w nabożeństwach, to może jeden z najlepszych środków, kiedy się chce lud ruski, a zwłaszcza tutejszy, ociężały, jakby zaspany, leniwy, przebudzić i do kościoła ściągnąć. Kościół na sumie był napełniony: inteligencya dopisała jak się należy i z wiosek dużo przyszło wszystkich obrządków. Po *Veni Creator* wstępną serdeczną przemowę wygłosił P. X. Dziekan. Wspomniał jak z niecierpliwością i drżącem sercem wszystko tu misyi wyglądało, bo też i wielka była jej potrzeba w parafii. Przechodząc następnie przykazania boskie, które pod utratą nieba każdy katolik powinien wiernie zachowywać, wykazywał czcigodny mówca, jak też przykazania nie są tu zachowane, ale gwałcone i deptane na każdym kroku: są tu ludzie, którzy nawet Boga nie znają, nie wiedzą kto ich odkupił, pacierza nie umieją i w tej ślepocie, grubej nieświadomości najważniejszych prawd wiary najobojętniej i uporczywie zostają. Na nic karania i katechizacye, na nic ekskursye, bo do kościoła nie przyjdą,, a choć

i do nich ksiądz przyjedzie, to się zejść nie chcą — od księdza uciekają. *(Dok. nast.).*

KRONIKA.

Kraków. *Rekolekcye dla kapłanów* odbyły się 20—24 września w naszym domu na Stradomiu pod przewodnictwem JX. Sup. Kiedrowskiego. Wzięło w nich udział 57 księży dyecezyi krakowskiej.

Rekolekcye ludowe, jakie od 15 lat w naszym kościołku na Kleparzu urządzamy odbywały się w obecnym roku dawnym trybem. Gdy okoliczne parafie tutejsze już obrobione zostały misyami, jakie Najprzewielebniejszy Książę-Biskup Krakowski w swojej dyecezyi zarządza, na rekolekcye przychodzą do nas przeważnie z poza granicy mianowicie ze Śląska i Królestwa Polskiego.

Od 29 listopada do 3 grudnia b. r. odbyły się u nas rekolekcye dla kobiet. Pomimo przykrej zimy, niedogodności podróży i innych przeszkód; pomimo, że prawie równocześnie odbywały się podobne ćwiczenia na Śląsku u ś. Anny i tu w Krakowie u OO. Franciszkanów dla tercyarzy, stanęło na tę seryę ze samego Górnego Śląska kobiet 220, prócz tego kilkadziesiąt z Królestwa Polskiego i tutejszych. Wszystkie odbyły te święte ćwiczenia z wielkiem nabożeństwem, pobożnością i jak na kobiety — osobliwszem skupieniem ducha. Na zakończenie w piątek d. 3 grudnia raniutko znowu raczył zaszczycić odwiedzinami swojemi pobożne rekolektantki Najprzewielebniejszy Książę-Biskup Puzyna. Odprawił mszę św., rozdał prawie wszystkim obecnym Komunię św., wybierzmo-

wał z nich te, które jeszcze tego Sakramentu nie przyjmowały, a następnie w podniosłych słowach zaznaczył szczęście, jakiego dostąpiły odprawiwszy te św. ćwiczenia. Zastosował do obecnych słowa Ewangelii: *Błogosławione oczy, które widzą, co wy widzicie i uszy, które słyszą, co wy słyszycie; bo wielu proroków i królów żądało widzieć, co wy widzicie, a nię widzieli i słyszeć, co wy słyszycie, a nie słyszeli* (Luc. X). Na początku swej przemowy wspomniał Najdostojniejszy Książę Kościoła, że jak kiedyś przez niewiastę, pierwszą rodzicielkę naszą Ewę, losy ludzkości się zepsuły, tak znowu niewiastę wybrał Bóg i naznaczył na to, żeby zepsute losy ludzkości naprawić, żeby przez jej pracę skromną i cichą utrzymać wiarę i pobożność w rodzinach, odnawiać całe społeczeństwo ludzkie. Mężczyźnie przeznaczył Bóg stanowisko inne: pracować na kawałek chleba, walczyć z trudnościami, osłaniać rodzinę i kraj — to jego powołanie. Kobiety mają domowego ogniska pilnować, wychowywać starannie dziatki, opiekować się czeladzią, a tak całe pokolenia do Boga prowadzić. Wielkie to i poważne zadanie. Niewiasta o własnych siłach należycie odpowiedzieć na nie potrafi. Dlatego też jeżeli komu to jej potrzeba się ustawicznie na duszy zasilać, oświecać i w odwagę uzbrajać. To właśnie miały na celu te śś. ćwiczenia, które się z dniem dzisiejszym w tym kościołku kończą. Szczęśliwe były rzesze, które kiedyś chodząc za Zbawicielem słuchały Jego nauk, patrzały na cuda jakie czynił. Nie mniej szczęśliwe i wy jesteście dodał Najprzewielebniejszy Arcypasterz, wy, którym kapłani katoliccy głosili w czasie tych ćwiczeń prawdy boże, opowiadali tę samą naukę, którą kiedyś P. Jezus ludziom głosił. Działy się i tu cuda, lubo oczyma ludzkiemi niewidzialne — gdy du-

sze zbłąkane opłakiwały swoje grzechy, spowiadały się ich szczerze, a nakoniec wszystkie do tej św. Uczty Ciała i Krwi Pańskiej przystąpiły.

Zachęcał następnie Najdostojniajszy Mówca do wspólnej modlitwy jako środka, który im wiele pomoże do utrzymania postanowień na rekolekcyach uczynionych, a w ich pracy około uświęcenia dziatek, prowadzenia po bożemu domów i rodzin koniecznością jest niezbędną. Zakończył życząc *pokoju*, jak biskupi od ołtarza przy mszy św. wiernym życzą: Pokój wam — *Pax vobis!*

Z przyjmowaniem do bractw najrozmaitszych, których u nas nie brak, radyśmy dać nie mogli — tak się ten lud pobożny garnął. Świeżo zaprowadzone u nas kanonicznie Arcybractwa Najśw. Konania tudzież Oblicza P. N. Jezusa Chrystusa przy tej seryi znacznie już na razie podrosły, a jeszcze więcej na przyszłość się zapowiada. Zapisały się prawie wszystkie, które dotąd nienależały, prócz tego wiele pobrało karty zelatorskie, żeby w domu innych do tych bractw zachęcać. Do Arcybractwa Najśw. Konania P. Jezusa w przeciągu niespełna dwóch lat, jak jest zaprowadzone zapisało się dotąd przeszło 8,000, a do Oblicza wpisanych od Wielkiej Nocy tege roku liczba dochodzi 4,000. Naturalnie cała ta sprawa szatanowi się bardzo nie podoba — dlatego też najrozmaitsze porusza sprężyny, żeby tu ludzi nie puszczać, a przynajmniej przybycie im utrudniać. Na Śląsku głoszono urojone zakazy, że nie wolno nikomu do Krakowa się wybierać — radziby niektórzy chińskim murem lud ten poczciwy zamknąć. Za kordonem w Królestwie jeszcze większe trudności — ale jakoś nie wiele one lud odstraszają: kto chce przybyć i skorzystać, zawsze sposób znajdzie. A my sobie z Gamalielem

powtarzamy, że gdyby to było dzieło ludzkie, jużby dawno się rozchwiało i upadło; ale że Bóg tego żąda, więc wszelkie wysiłki i intrygi ludzkie temu nie poradzą. Skoro raz spodobało się Bogu maluczkie Zgromadzenie nasze do pracy około biedaków wzbudzić i przeznaczyć, pracy nam nie braknie nigdy, ludek nas wszędzie odszuka i jak do swoich się garnie. Skończymy misye, to na rekolekcye ciągną; ustaną w jednej okolicy, to znowu gdzieindziej się budzą — to nie ludzka sprawa, ale boża.

Francya. *Annales* ostatnie donoszą z Reims, że w tamtejszym kościele św. Genowefy odrestaurowaną została kaplica poświęcona Najśw. Maryi Pannie, a na ołtarzu tej kaplicy stanęła statua Najśw. Panny ad Cudownego Medalu. Ceremonii poświęcenia dokonał sam Arcybiskup z Reims JE. Kardynał Langenieux. U wrót kościoła przyjął go proboszcz tegoż i dziękował, że raczył uświetnić uroczystość swem przybyciem. Kardynał odpowiedział, że czuje się szczęśliwym, iż może dopełnić tej ceremonii w tym samym właśnie czasie, gdy Kardynał Arcybiskup Paryski koronuje z polecenia Ojca św. statuę Najśw. Maryi Panny od cudownego Medalu umieszczoną w Kaplicy głównego domu sióstr w Paryżu. Po dokonanej ceremonii wstąpił na ambonę ks. Thirion i w wymownych słowach tłumaczył znaczenie Cudownego Medalu dla Francyi i całego świata, zachęcał do noszenia go i czczenia przezeń Najśw. Maryi Panny. Uroczystość ta głęboko zapisała się w sercach i pamięci obecnych.

Jak wiadomo w tym roku liczne powodzie nawiedziły Europę, a w niejednem z domów Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia wyrządzone szkody są znaczne. Tak np. donoszą z Auch, że rzeka przepływa-

jąca przez to miasto, wdarła się w ulice. Pędząc ulicą prowadzącą do szpitala, woda, zburzywszy mury wdarła się do wnętrza, zalała podwórze, ogród i rosła ciągle z niesłychaną szybkością, dostała się do sal chorych na parterze, a wnet łóżka zaczęły pływać. Co żyło, siostry, posługacze, rekonwalescenci — rzuciło się do ratowania ciężko chorych. Pracowano z wysiłkiem, mimo to woda 7 ofiar zabrała, siedmiu bardzo słabych nie zdołano już wyratować.

Wdarła się woda i do apteki; siedmdziesięcioletnia siostra aptekarka schroniła się wraz z swą pomocnicą do kaplicy i tu stanęły na stopniach ołtarza. Wnet jednak woda i tam je dosięgła i już do połowy je pogrążać zaczęła. Radzono siostrze aptekarce udać się na ambonę, ale to już było wobec siły fali niemożliwe. Wreszcie na ratunek powołano oba stacyonowane w Auch pułki piechoty. Otóż pewien sierżant zeskoczył z trybuny do wody, aby siostrę wyratować. Ożywiona wielką miłością bliźniego staruszka radziła mu ratować przedewszystkiem młodą swą pomocniczkę, sama gotowa umrzeć. Ale sierżant oświadczył, że albo obie wyratuje, albo sam z niemi zginie. I wyratował je rzeczywiście, — ale też czas był najwyższy, bo w tej samej chwili rozpadł się podmyty wodą, ołtarz.

Hiszpania. Misyonarze zdają sprawę z misyj odbytych w dyecezyi Avila w miesiącach zimowych. 9 listopada 1896 r. wyruszyło trzech misyonarzy i brat błogosławieństwem biskupa obdarzonych do Cebreros miasteczka o 5 mil od La Iglesuela (miejsca zamieszkania misyonarzy) oddalonego. Tu zabawili u proboszcza do drugiego dnia, poczem udali się do *Le Tiemblo.* Masteczko to miało dotąd złą opinię u katolików, znane było z obojętności dla religii, co wię-

cej okazało się, że wielu w niem wrogów katolicyzmu. Dawnemi czasy przyjmowali mieszkańcy misyonarzy kamieniami; a kiedy tu po raz ostatni nasi konfratrzy pracowali, musieli misyę przerwać i wyjechać. Tym razem dzięki Bogu było inaczej już samo przyjęcie, w którym mnóstwo ludu brało udział, było serdeczne. Niemniej i w naukach liczny brano udział, a Bóg widocznie błogosławił pracę, bo wielu takich co lata całe niebyli u Sakramentów św., teraz do nich przystąpili. Założono także Stowarzyszenie Pań Miłosierdzia i wiele do niego pozyskano.

Stąd udali się misyonarze do *Escarabajosa* małej wioski, której mieszkańcy wszyscy prawie trudnią się handlem bydła. Zajęcie to, które często wymaga ich pobytu po za wioską, nie rokowało, że żniwo będzie obfite. A przecież mimo słoty licznie przybyli ci ludzie, a pożegnanie było nadzwyczaj serdeczne.

W wigilią Niepokalanego Poczęcia N. Maryi Panny przybyli misyonarze do *Adrady*, gdzie już czekało na nich dużo ludzi. Proboszcz tu gorliwy bardzo i życzliwy dla dzieci św. Wincentego. Aby utrwalić skutki misyi prosił o zaprowadzenie Arcybractwa Konania Zbawiciela Pana. Misya i tu przyniosła obfite owoce.

Święta Bożego Narodzenia spędzili misyonarze w Adrada, poczem 28 grudnia udali się na następną misyę do *Piedralaves* małej wioski, liczącej około 500 rodzin. Najpobożniejsza to wioska z całej okolicy, ale i tu już indyferentyzm zapuszcza korzenie. Wielu mieszkańców przestało już uczęszczać na nabożeństwo i do Sakramentów św. Misya jednak wzbudziła w ich sercu wiarę na nowo, scnodzili się też licznie, mimo ulewnego deszczu. Zgorszenia publiczne zostały naprawione.

Wiele zepsucia szerzą tu zabawy taneczne. W zupełności usunąć ich się nie da, ale uzyskali misyonarze przyrzeczenie, że odtąd odbywać się będą w dzień. Rozdano 2,200 komunij św. Po postawieniu krzyża, wystawionego kosztem gminy, wyjechali misyonarze 14 stycznia do *Casavieja*, żegnani z płaczem przez mieszkańców.

Wioska ta ma tylko 700 mieszkańców, ale pobożnych. Podobną też była ta misya do owych o jakich czytamy w żywocie św. Wincentego. Już bardzo wcześnie, jeszcze przed czwartą czekało wiele ludzi słowa Bożego spragnionych na otwarcie kościoła. Pełen on też był zawsze tak, że z biedą można było przedostać się do zakrystyi. Założono Stowarzyszenie Dzieci Maryi. Odjeżdżających misyonarzy odprowadzono w tryumfie.

Azya. *Chiny*. Z Hay-men (wikaryat Cze-kiang) donoszą, że Bóg bardzo błogosławi pracę misyonarzy. Chińczycy licznie zgłaszają się na naukę katechizmu, tak, że nawet dziwić się można temu prądowi. W Nia-nam np. dotąd jeszcze nigdy nie postała noga misyonarza. Kiedy po raz pierwszy się tu pojawił, zaraz zgłosiło się wielu na naukę katechizmu, między innymi także kilku nauczycieli. Byłoby rzeczą pożyteczną posyłać im tam misyonarza częściej i otworzyć kaplicę, ale na tę ostatnią nie ma środków, bo i tak już trzy kaplice koniecznie trzeba było urządzić. Misyonarze przenieśli teraz swą rezydencyę do Hay-men, ale o Sa-kiao nie zapomnieli. Ponieważ jest tam około 1,000 neofitów, więc odwiedza się ich często. Można tam było ochrzcić jeszcze 135 mężczyzn, ociągają się jednak misyonarze umyślnie, bo nietylko chcą ochrzcić mężów, ale i żony, wtedy bowiem dopiero ma się rękojmię, że wytrwają przy wierze chrze-

ścijańskiej. W Hay-men, gdzie od 20 lat nie było kaplicy znaleźli misyonarze już tylko 3-ch chrześcijan, — dziś zaś kaplica jest pełna, więcej niż 100 mężczyzn i co najmniej 25 kobiet. Nie ma jednak dotąd jeszcze szkoły. Spodziewają się ochrzcić w tym roku 300 osób. Gdyby były szkoły dla kobiet katechumenek, to liczba ta znacznieby wzrosła, brak jednak funduszu nie pozwala większej rozwinąć działalności.

Persya. JE. ks. biskup Lesné wikaryusz apostolski w Persyi donosi, że nie bardzo są chrześcijanie bezpieczni w państwie szacha. Syn szejka Ubeidullaha, (który pustoszył okolicę Urmiah w r. 1880), grozi z Turcyi, że zrobi to samo co ojciec. Dali o tem misyonarze, przestrzeżeni przez katolików górali, znać władzy, — nad resztą czuwa Pan Bóg.

Niepokoi ludność okolicy to, że już od lat pięciu jezioro Urmiah ciągle się zwiększa. Pola uprawne, łąki, winnice, ogrody znikają pod wodą. Osady odległe dawniej o ośm godzin drogi od jeziora, teraz są bagnami, — woda wypływa z pod ziemi. Gdzie dawniej potrzeba było żórawia przy studni, tam dziś wodę ręką dosięgnie. Niejedna wieś już w ten sposób zniknęła z powierzchni. Nawet najstarsi ludzie nie pamiętają czegoś podobnego. Obecnie niepokoją mahometanie żydów, — można się więc spodziewać, że później przyjdzie kolej na chrześcijan, bo po rzeziach Armeńczyków w Turcyi wyznawcy islamu i tu są zuchwalsi. Niedawno pokłóciło się między sobą dwóch żydów, — jeden oskarżył drugiego o zabójstwo pewnego dziecka muzułmańskiego i wskazywał miejsce gdzie trup zakopany. Sprawa zaraz się rozniosła i co żyło ruszyło — a była już jedenasta w nocy — do żydowskiej dzielnicy, aby bić i rabo-

wać żydów. Na szczęście wczas jeszcze uwiadomiono gubernatora, zatrąbiono pobudkę i wojsko ruszyło w ślad za rozbestwionym tłumem i zdołało uchronić dzielnicę od rabunku, na noc jednak musiała zostać straż. Najlepiej na tem wyszedł gubernator, któremu żydzi złożyli 1,300 tomanów, aby sprawę przytłumić. Gubernator nie życzy sobie rabunków i napadów na chrześcijan lub żydów, ale na wschodzie bywa władza często za słabą wobec fanatyzmu tłumów.

Syrya. W Bejrucie obchodziła siostra Gelas jubileusz, 50 lat bowiem przebywa w Syryi. Była ona jedną z gromadki sióstr, jakie tu przed 50 laty po raz pierwszy osiadły. Zasługi jej około tej misyi są wielkie, stąd też w dniu tym uroczystym spotkała ją owacya tak ze strony sióstr, jak misyonarzy, ze strony Europejczyków i krajowców. Po nabożeństwie odprawionem przez delegata apostolskiego ks. biskupa Duval w asystencyi ks. wizytatora i ks. superyora z Antury, w którem wzięli udział także francuscy oficerowie marynarki, składali wszyscy siostrze życzenia. Wielką pociechą dla niej był telegram Ojca Generała, w którym przesyła swe błogosławieństwo. — Dowiadujemy się w ostatniej chwili, że 87-letnia jubilatka umarła. Dnia 13 października odbył się jej pogrzeb, w którym wziął udział i konsul francuski, oddając w ten sposób hołd zmarłemu *kawalerowi legii honorowej*.

Afryka. *Abisynia.* Jak wiadomo misyonarze zostali wypędzeni przez rząd włoski z prowincyi Erytrei. Otóż teraz Ojciec św. polecił im pracę we właściwej Abisynii. Tam jednak trzeba będzie zacząć wszystko *ab ovo*, ileż lat upłynie, zanim szałas w jakim trzeba będzie mieszkać z początku będzie można zamienić na dom i kościół. Ale z Bogiem to pójdzie,

choć trzeba będzie wielkiego zaparcia się i wyrzeczenia siebie.

Tunis. Ksiądz Bombard archipresbyter katedry Tuniskiej, wystawionej pod wezwaniem św. Wincentego w liście do Ojca Generała prosi, aby zachęcił członków obu Zgromadzeń św. Wincentego do składek na wielki ołtarz i witraż do katedry. Na budowę wyczerpano już wszelkie fundusze, a wiele jeszcze brakuje. Składki przyjmuje sekretaryat Domu głównego w Paryżu.

Ameryka. *Mexyk.* Według listu umieszczonego w *Annales* nadzwyczaj pomyślnie rozwija się tu Stowarzyszenie Dzieci Maryi, pozostające pod duchowną opieką księży misyonarzy. Jest już 330 towarzystw z 23,000 członków. Jeszcze i z tego względu Stowarzyszenie jest tu bardzo pożyteczne, że pomaga Paniom Miłosierdzia w opatrywaniu ubogich i chorych.

Z *Monterrey* donoszą, że powołania do stanu duchownego są tam bardzo nieliczne. Przyczyną tego między innemi jest wcale niepowabny los kapłanów; w niektórych bowiem dyecezyach nie mają nawet z czego żyć. Wychowańcy misyonarscy odpowiadają dzielnie łasce Bożej, a ks. arcybiskup wyraził kierownikowi seminaryum swe zadowolenie. Małe seminaryum liczy 45 uczniów. Niektórzy mieszkają w domu Zgromadzenia inni dochodzą, bo rodzice nie chcą powierzać ich szkołom bezreligijnym. W szkole uwzględnia się nietylko filologią, ale w obszernym zakresie i nauki przyrodnicze, aby ci dochodzący uczniowie mogli zdawać egzamina w szkołach rządowych.

W r. 1896 otwarto szkołę elementarną, na razie o dwóch klasach. Zajęcia te tyle zajmują czasu, że na inne dzieła Zgromadzenia nie wiele go zostaje. W wielkim poście dawano rekolekcye w 3 kościołach

miasta, aby przygotować mężczyzn do Komunii św. Wielkanocnej. Od dwóch lat na początku wakacyj dawali także misyonarze rekollekcye Kapłanom i „Dzieciom Maryi“. W Kaplicy misyonarskiej zbiera się Konferencya Pań Miłosierdzia. Jest ich 400, a bardzo poświęcają się dla ubogich.

Kwitnie także arcybractwo Konania Pana Jezusa; a co rok przed głównem świętem arcybractwa odprawiają się 9-dniowe ćwiczenia duchowne. Dziesięciodniowa misya, jaką korzystając z wakacyj odprawili misyonarze zajęci przy szkole, przyniosła wiele pożytku. Samych małżeństw naprawionych było 50.

Costa Rica. *Sipurio.* Ksiądz Krautwig zdaje sprawę ze swych misyj, odbytych wzdłuż rzeki Estrella. Wraz z jednym seminarzystą przeszedł on w ciągu miesiąca, całą przestrzeń od pierwszej chatki nad morzem aż do źródeł rzeki. Owocem tej podróży misyonarzy było nawrócenie i chrzest 59 Indyan. Byli między nimi młodzi i starzy, niektórzy już 80 i 90 lat liczyli — byli i znachory i czarnoksiężnicy. Nawróciło się i 3 protestantów, pobłogosławiono 14 małżeństw i założono pierwszą w tej okolicy kaplicę katolicką. Rok poprzednio jeszcze jeden ze znachorów nastawał na życie księdza Krautwiga, w tym zaś roku przyszedł z całą rodziną prosić o chrzest św. W obrębie tej misyi pozostaje już tylko 24 Indyan pogan. Trudy były wielkie, to też towarzyszący księdzu Krautwigowi seminarzysta po powrocie do domu ciężko zachorował.

Panama. Nad przekopem przesmyku pracują ciągle, obecnie zajętych jest przeszło 3,000 robotników. Siostry w szpitalu mają dużo do czynienia, gdyż żółta febra pokazała się znowu i dużo ofiar zabiera.

Rzeczpospolita Równikowa. Rząd masoński prześladuje katolików. W Riobamba odbywały się świętokradztwa i profanacye pod powagą i za współudziałem rządu. Sprofanowano Kościół OO. Jezuitów, a superyora zastrzelono w jego celi. Strzelano do tabernaculum, hostye św. wyrzucono na dywan, deptano nogami lub zjadali je żołnierze i członkowie rządu. Nie dosyć im było tego; świętych naczyń użyli do picia wina jakie znaleźli w zakrystyi. Cały konwent zrabowano, zrujnowano, a jezuitów z rękami na plecach związanemi i z powrozami u szyi prowadzono przez ulice miasta wśród szyderstw pospólstwa. Księdza biskupa wypędzono do Peru, a z nim wielu kapłanów. Nad dziećmi swemi czuwał św. Wincenty i Najśw. Marya Panna, bo i względem Sióstr Miłosierdzia złe istniały zamiary. Na razie ograniczono się na zaprzestaniu wypłacania subwencyi rządowej kontraktem wyznaczonej na szpital i szkoły.

Brazylia. *Bahia.* W mieście tem przeważa rasa czarna, gdyż po nadaniu wolności niewolnikom r. 1887 zostało ono wybrane za główną przez nich siedzibę Ludność żyje tu prawdziwie po afrykańsku, t. j. z dnia na dzień i myśli tylko o używaniu. Praca, zarobek to pojęcia, o które niebardzo się troszczą. Są za to bardzo wyzyskiwani. Kobietami i dziećmi zajmują się Siostry Miłosierdzia i przez kobiety działają na rodzinę, a zajęciem Misyonarzy rozpostrzeć nad tem wszystkiem opiekę duchowną. W wakacye wyjeżdżają Misyonarze na misye, a słowo Boże głosi się najczęściej pod gołem niebem, słuchaczy bywa bowiem wielu. W małem seminaryum wychowuje się około 100 uczniów, nie wszyscy jednak na kapłanów. Tych atoli co okazują powołanie i chęć zostania kapłanami odłącza się, — a jest takich przeszło 20.

Chile. Ksiądz Maillard oprócz innych zajęć, obrał sobie pracę w szpitalu, w którym najwięcej chorych na ospę. Choroba ta odrażająca, wydaje taki nieznośny odór, iż do niego przyzwyczaić się nie można żadną miarą. Już cholera jest lepszą; więcej groźna ale nie tak odrażająca. Ks. Maillard pracuje już 20 lat przy tym szpitalu. Czy to klimat niezdrowy, czy zepsucie Chilijczyków, czy niedbalstwo i niechęć do szczepienia winne, dość, że szpital zawsze pełny.

W kościele swym misyonarze mają także wiele do czynienia, wiele bardzo spowiedzi.

Zmarli:

Jan Martino, brat, 42 lat życia, 16 pow., † 14 października w Genui (Lombardya).

Ks. Emanuel Abete, 33 lat życia, 15 pow., † 17 października w Santiago de Cuba (Havanna).

Mikołaj Heuriot, brat, 67 lat życia, 17 pow., † 20 października, w Paryżu (Francya).

Ks. M. Tchang, 54 lat życia, 2 pow., † w Chinach.

Ks. Karol Casoni, 73 lat życia, 44 pow., † 6 listopada, w Montecitorio (Rzym).

Rajmund Porti, kleryk, 26 lat życia, 4 pow., † 26 listopada w Madrycie (Hiszpania).

Ks. Wiktor Dégert, 27 lat życia, 7 pow., † w listopadzie, Fortaleza (Brazylia).

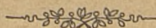
Ks. Bartłomiej Blancard, 41 lat życia, 23 pow., † 30 października w Zeitenliku (Konstantynopol).

Ks. Stefan Mallet, 76 lat życia, 55 pow., † 3 grudnia w Paryżu (Francya).

Ks. Honoryusz Guy, 53 lat życia, 29 pow., † 3 grudnia w Montpellier (Prowancya).

Ks. Bartłomiej Sipolis, 68 lat życia, 46 pow., † 8 grudnia w Rio-de-Janeiro (Brazylia).

R. I. P.





KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.